

Kronika

D W U T Y G O D N I K S P O Ł E C Z N O - K U L T U R A L N Y

Nr 12 Rok I

ŁÓDŹ, 16—31 PAŹDZIERNIKA 1955

Cena zł 1.20

TADEUSZ SŁUPECKI

Uroki prowincji

1.

KAJAK prul bezzeseleśnie wodę. Ocierał się chwilami o nadbiegające z brzegów trzciny. Między nimi czatowali wędkarze, złym okiem mierząc przepływających intruzów. Dopiero na drugim kilometrze jazdy ktoś — choć również z wędką, wychyloną daleko z szarego kajaku — uniósł ku nam przyjaźnie dłoń.

— To sekretarz naszej organizacji partyjnej. Bojowy facet — wyjaśnił mi mój towarzysz, dyrektor jednej z miejscowych fabryk.

— Acha... — skwitowałem leniwie i poddając słońcu twarz myślałem dalej o nieoficjalnych przyjemnościach letnich wyjazdów na reportaże i o owym referencie kulturalno-oświatowym. Starszy pan, o flegmatycznym obliczu statecznego emeryta, z takim przekonaniem nakreślił mi przed południem obraz kulturalnego rozwoju Pakości, że aż poczułem doń odrobinę urazy. Przejmennie jest przecież wrócić z terenu z rewelacyjnym tematem, wstrząsnąć czytelnikami odkrywczym, pełnym krytycznej pasji reportażem, niż klecić artykuł o dobrze pracujących świetlicach i złej sprzątacze. A tu, jak na złość, zapowiadało się właśnie coś podobnego. Nie było w miasteczku, jak Pakość Pakością, tj. od XIII wieku, stałego kina — otworzyli je na pół roku przed moim przybyciem. Nie było przez 15 lat żadnych chorób — w ostatnim roku powstały naraz dwa. Nie było po wojnie świetlic albo mieściły się poza miastem w niedogodnym dla mieszkańców punkcie, nie-

dawno powstały w rynku, a więc w samym centrum Pakości. Jest także klub sportowy, są biblioteki fabryczne i miejskie, są odczyty TWP, był kiedyś teatr z Grudziądza i orkiestra objazdowa z Poznania, przyjeżdżał ponoć także i bydgoski „Artos”...

— Kultura, panie, u nas po prostu kwitnie! — przysięgał stateczny referent od trzech referatów. — No, pewnie, że coś tam gdzieś może i nie tego... Ale koń ma cztery nogi i też się potknie. A tu, panie, za sanacji jak się trafiło raz do roku jakieś nędzne, przyjezdne kino, to już był jubel jak u Żydów w hederzel...

...Po czterech godzinach kajakowej wódczki po jeziorach, dających początek Noteci, wpłynęliśmy znów na serpentynowy szlak rzeki. Sekretarz organizacji partyjnej z fabryki, której dyrektor towarzyszył mi w kajaku, zwiłaj właśnie przybory wędkarskie i szkykował się do powrotu. Popłynęliśmy więc obok siebie, pozwalając unosić się leniwemu nurtowi. Słońce chowało się w lewobrzeżnych łakach, a przedwieczorna cisza, która leżała nad wodami, rozciągała tylko krzyk mewy, polujące na ryby. Naraz jakieś słówko w rzadkiej, grzecznościowej wymianie zdań, przypomniało mi referenta i jego opowieść o kulturalnym rozkwicie miasteczka.

— Pytacie o książki, towarzyszu — sekretarz z zakłopotaniem podrapał się w głowę — gdy brak czasu na czytanie gazet. Żona już teraz straszy mnie rozwodem! Ty ciągle, powiada, masz te swoje zebrania w fabryce, a ja, po-

wiada, waruję w domu niczym pies, choć żem też kobieta do wzięcia.

Machnął sprawnie wiosłem, poprawił w torbie ryby i dokończył:

— Czasu, towarzyszu, oto czego nam dzisiaj brak. A w ogóle Pakość to cholerna dziura. Zdechnąć można by z nudów, gdyby nie rzeka. U nas, towarzyszu, to nawet powiadają, że grunt przebebnąć w karty zimową nudę. Bo latem kłopotu nie ma — jest rzeka.

2.

— Miasteczko położone na peryferiach województwa bydgoskiego, daleko od Poznania i Bydgoszczy, a jeszcze dalej od Łodzi czy Warszawy, węgetowało do roku 1939 w sennej nudzie powiatowego ośrodka dewocji. Świątowy kryzys spowodował w roku 1930 upadek — jednego dużego przedsiębiorstwa ówczesnej Pakości — cukrowni; 420 zarejestrowanych bezrobotnych z rodzinami — a więc blisko połowa mieszkańców — żyło z dorywczych zarobków po okolicznych wsiach, z kradzieży i łowienia ryb. A mimo tego większość miejscowych robotników ulegała klimatowi Kalwarii Pakoskiej i oczekiwała pomocy od krzykaczy z Narodowej Partii Robotniczej. Sklepiakrze zaś i nadeści posiadacze pseudobabrowych kamieniczek wielbili znów, dla odmiany, Narodową Demokrację. I tak to przy pomocy religijnej pokory i tych awach pozornie odmiennych partii faszystowskich umiano w Pakości „rozładować” odczuwaną przez robotników potrzebę walki politycznej ze społeczną krzywdą...

(Dokończenie na str. 4)

WANDA KARCZEWSKA

Śpiewam dom

Śpiewam dom, gdzie dwoje ludzi
jest jak kora i rdzeń drzewa,
jak światło i źródło światła,
nierozłączni i współzależni.

Śpiewam dom, w którym radość mężczyzny
istnieje przez kobietę,
jak ciepło istnieje przez słońce,
a uśmiech żony budują;
zawsze czynna, tworząca myśl męża,
jego ręce nie skrywające kształtów i woni
innych kobiet,
jego niekłamliwe w czułości oczy,
za których spojrzaniem nie kryje się
mierzwia przerażających pragnień i spraw.

W tym domu troska mężczyzny
roztopia się w jej spokojnym, mądrym
wzroku światła,
w tym domu ból kobiety
ucisza się pod dotknięciem jego dłoni,
jak ucisza się szamocący ptak,
znalazłszy osłonę.
Udręki życia,
starte w potokach wieczornych rozmów,
opadają na dno, jak kamienie, jak grudki piasku.
A gdy przychodzi noc
ręce ich wiążą się, jak liście jednej gałęzi,
jak pióra przytulonych do siebie ciasno,
spiących na parapecie synogarlic.

Na półkach szepczą książki rozświetlone
ich dotknięciami,
w szafie dziecięcej godzą się przed snem
poważnione zabawki.

W łóżeckach — dwaj synowie...
Oto cała ich miłość i całe bogactwo.
Ocalają je co dzień,
każdym słowem, myślą i każdym pragnieniem.

Śpiewam ludzkie szczęście.
Nie znam jego smaku,
ale ono istnieje,
dotknęłam go własnymi rękami,
ono istnieje naprawdę.

1954

Cóż mi?

Akrobaci przerzucający się z trapezu na trapez,
zrećni podbijające cudzych bębneków,
linoskoczkowie i magicy czyniący z braków zalety,
króliki wystawiające zawsze uszy — skąd wieje wiatr,
żonglerzy chwytający z powietrza piłki sądów,
zaklinacze i hypnotyzerzy opinii publicznej
oto towarzystwo, które — prócz trzech sprawiedliwych —
spotkasz na targowisku sławy.

Jeśli chcesz uniknąć pokusy przelotnego błyszczenia
zalep uszy woskiem.
Nie daj się zaklinaczom i hypnotyzerom
zwiesić z własnej drogi,
albowiem nie jest wadą kwiatu,
że posiada woń,
liścia, że posiada kolor,
poezji, że mieści w sobie nie tylko myśl,
ale „czucie i serce”.

Nie mam do rozdawania królestw
wzmacniać za ukłony dworzan,
nie mam bębnek do podbijania,
nie mam nie tylko trubadura,
ale nawet fuzji do obrony własnej
na moim samotnym tropie.
Lecz cóż mi znowa milczenia?

Potok górski pod twardą skorupą zimy
żyje i wzbiera,
przebiega się przez skały,
przebiega się przez śnieg i lód.

Nawet przez trwożliwe milczenie
ptaków-przyjaciół.

1954



M. Jaeschke

Martwa natura

JÓZEF H. WIŚNIEWSKI

Wygnanie z cieplarni

INTERESUJĄCY felieton Mateusza Dziewisa (Kronika nr. 11 — „Inwokacja do rozsądku”) zmusza, prowokuje nas, świeżo upieczonych magistrantów, do zabrania głosu. Będzie to głos smutny, ale nie pesymistyczny.

Gdyby zagadnienie studiującej młodzieży uogólnić, można by rzec, iż chodzi tu o młodą, ludową inteligencję humanistyczną, o stopień jej przygotowania i społecznej użyteczności. Sprawa nie taka prosta. Spodziewaliśmy się na ogół, że wykształcą nas na nauczycieli wyższych klas szkół średnich, że będziemy nauczali języka i literatury polskiej. Fakt ten wielu z nas cieszył. Po zmianach, jakie zaszyły w systemie plac nauczycielskich, znaczna większość nabrała apetytu na pracę w szkole. Oczywiście nie bez znaczenia był naprawdę gorący w wielu stosunek do literatury, szczerą chęć dotarcia z wiedzą o niej do ucznia. W naszej, łódzkiej grupie polonistów na palcach jednej ręki można było policzyć tych, którzy woleli by zająć stanowiska redaktorów „Nowej Kultury”, w gorszym wypadku „Kroniki”, czy „Życia Literackiego”. Zawsze co Warszawa to nie prowincja, choćby nawet taka jak Łódź, czy Kraków.

Prawdę a Bogiem nieże nas karmiono ponętami obietnicami. Pamiętam wzruszający dzień nadawania nam tytułów magistrów filozofii w zakresie filologii polskiej. Pamiętam oświadczenia, że ministerstwo zapewni nam pracę w szkole średniej. No, a o rzuceniu człowieka gdzieś w teren bez przynależności — naturalnie nie może być mowy.

Zrzędy nam trochę miny po interesujących skądinąd dyskusjach z przedstawicielami komisji przydziału pracy. Okazało się bowiem, że wszyscy ci, którzy z jakiegokolwiek względów pozostają w Łodzi — pracować będą w szkołach podstawowych. Władom — problemy dydaktyczno-wychowawcze w klasach początkowych są bardzo skomplikowane, wiadomo — nie wielkie mieliśmy o nich pojęcie. No, ale trudno winić nasz łódzki Wydział Oświaty za takie stanowisko skoro na prawie 90 kandydatów mógł zaofiarować zaledwie około 30 miejsc. Inni natomiast, chętni do wyjazdu w teren, otrzymali zapewnienia pracy w szkołach średnich...

* * *

Co do mnie — otrzymałem nominację na... historyka i gimnastyka, mój przyjaciel oprócz języka polskiego (o literaturze ani marzyć) uczy śpiewu, chociaż brak mu i słuchu i głosu.

Powiedzmy — nie jest to jeszcze najgorsze. Nie chcieliśmy czy nie mogliśmy z rozmaitych względów opuścić Łodzi, musimy brać to, co jest możliwe.

Cóż jednak powiedzieć o... „bezrobotnych”? Mówię o wcale niemałej grupie polonistów, którzy naprawdę ze szczerem zapalem wyruszyli w teren, by tam przeżywać swoje wymarzone poematy pedagogiczne. Oto kolega Kussal powrócił z dalekiej sandomierszczyzny, dokąd skierowała go komisja przydziału pracy. Powrócił, aby nauczyć się rysunków, gdyż taki właśnie etat mu zaproponowano. No dobrze, niech się nauczy rysować. A co będzie, kiedy następnym razem zaproponują mu pracę fizyka, albo przyrodnika? Tak przecież stało się z kolegami — Bachórzem i Zieckau. Narzekaliśmy trochę wspólnie na nasze władze oświatowe — czemuż nie przewidziały przy polonistyce — gimnastyki, śpiewu, rysunków, fizyki i przyrody?

Sprawa jest jednak poważniejsza,

niż można by sądzić na pierwszy rzut oka.

Nasze koleżanki — Jarzębowskią, Kolatównę, Lisównę, Kwiatkównę i Tamulewiczównę — skierowano na teren województwa szczecińskiego. Z jednej z nich nie zapewniono mieszkania, wszystkim zaproponowano nauczanie geografii, chemii i fizyki. Lisówna została, gdyż zdolała sobie znaleźć sublokatorski pokój. Tamulewiczówna sypia w szkolnej klasie. Ma to swoje zalety — pomoce naukowe blisko. Inna rzecz, że nocujące od czasu do czasu wycieczki przeszkadzają jej w zgłębianiu tajemnic chemii, której na polonistyce poznać nie mogła. A reszta to „bezrobotne”, które złamany święty nakaz pracy.

Cóż oznaczają tego rodzaju fakty? Oznaczają, że proces nasywania terenu nową, młodą inteligencją, nie biegnie prawidłowo. Trzeba sobie tylko uświadomić, że młody, liczący niewiele ponad 20 lat życia magistrant, któremu brak doświadczenia, rozeznanie skomplikowanej struktury życia w jakimś miasteczku, osadzie, czy wsi, musi mieć odpowiednią pomoc. Nie chodzi tu o czekanie się, rozpieszczanie młodzieży. Wystarczy tylko przypomnieć sobie, że pierwsze kroki w trudnym zawodzie nauczycielskim, do którego młody absolwent z reguły nie jest wystarczająco przygotowany, pierwsze trudności, zawody, rozgorzczenia, mogą urobić w nim niechęć do tak zwanej prowincji, do pracy w sennych środowiskach, które trzeba ożywić. Sprawy powrotu na wieś nie można sprowadzać jedynie do niechęci, jaką istotnie widać u pewnej części młodzieży, w wygodniśtach, życiowych oportunistów, którzy weszli za latwym, beztroskim życiem. Niechęć ta jest również wynikiem podrzucania młodym człowiekiem jak piłką, lekceważeniem jego marzeń, zamyślowania, zdolności i wiedzy.

Wrastanie młodej inteligencji w trudny, skomplikowany teren — to proces, który należy otaczać większą opieką niż to się w praktyce dzieje.

W tym wypadku biurokracja jest szczególnie niebezpieczna, bezduszność więcej szkodliwa, gdyż zdrową ambicję przegodzi, chce pasowania się z trudnościami przemienia w przymusowe wygnanie, na którym wszystko wypada czynić tylko nie to, co się umie i chce.

* * *

Jest jeszcze inny aspekt tego samego zagadnienia. Dziewisz słusznie zwraca uwagę na niewłaściwą atmosferę studiów, niepokoi go np. zanik samodzielnego myślenia u studentów. Tak to jest naprawdę!

Brakowało nam czegoś, co można by na dobrą sprawę nazwać ideałem współczesnego studenta socjalistycznej uczelni. Nie może przecież nim być estetyzujący snob, elegancik kawiarz, rozprawiający prywatnie o urokach zachodniej kultury. Nie może być kartograf, brydżysta — a i takich można jeszcze na uczelni spotkać. Ale też nie może nim być pedant — porządniczek, uczący się od stroniczki do stroniczki, żyjący ściśle według regulaminu, na czyjeś polecenie, rozmawiany w zebraniach, w częściej gadaninie.

Chodzi o wzór studenta ofensywnego, powiązanego z tymi dziedzinami życia, które wejdzie po skończeniu studiów. Któż z nas, nawet tych „piątkowych studentów” znał dobrze problemy współczesnej szkoły, który z nas pasjonował się walką o nowego człowieka w większym czy małym miasteczku? Wyobrażenia o tym, jaki powinien być młody inteligent, kształtowały się na ogół w oderwaniu od

(Dokończenie na str. 2)

Tradycje i wspomnienia

(z okazji 50-lecia Zw. Zaw. Nauczycielstwa Polskiego)

W roku 1877 w miejscowości Janiszewice, położonej w powiecie skierniewickim, rozpoczęła Filipina Płaskowicka pracę nauczycielki - działaczki społecznej. Pracą swoją głęboko rewolucjonizowała chłopięce otoczenie, zdobyła pełne zaufanie chłopów, tak, iż pamięć o niej, dotychczas żyje nie tylko w Janiszewicach czy Głuchowie, ale w całym skierniewickim powiecie. „To była prawdziwa nasza przyjaciółka, nasz wódz. Uczyla nie tylko nasze dzieci, ale i nas. Pokazała nam naszych wrogów, którzy się tuż naszą krzywdą” — oto, co dziś jeszcze można o Płaskowickiej w pow. skierniewickim usłyszeć.

W czasie nieco późniejszym, z inicjatywy Radlińskiej, powstają „Ludowe Koła Oświaty” jako organizacja nielegalna będąca pod przemożnym wpływem SDKPiL a także i PPS. Postawili one przed sobą, jako główne zadanie na wsi, szerzenie czytelnictwa, zakładanie odpowiednich bibliotek oraz wydawanie popularnych broszur i publikacji oświatlających zdarzenia ówczesnego życia.

W Ludowych Kółach Oświatowych pracownikami politycznymi byli w głównej mierze nauczyciele ludowi. W

ramach tych kół w 1905 roku, powstają pierwsze tajne organizacje ściśle nauczycielskie. Zostaje powołany do życia Komitet Organizacyjny. Komitet zajął się w pierwszym rzędzie sprawą udziału nauczycielstwa w walce o szkołę polską. Na czoło w tej walce wybija się pow. łowicki. Pierwszą wsią, w której szkoła zastrajkowała, były Zawady, w pow. łowickim.

Za przykładem Zawad idą inne szkoły w powiecie, za powiatem łowickim — szkoły w innych powiatach. Bojkot szkół obejmuje znaczną część b. kongresówki. W celu nadania tej akcji jednolitych form, ujęcia działaczy w ramy organizacyjne, zwołano do szkoły w Pilaszewie k. Łowicza na dzień 1 października 1905 r. Zjazd Delegatów kół nauczycielstwa z Kongresówki. Przed najściem policji, Zjazd zabezpieczyli chłopcy.

Zgromadzeni na zjeździe delegaci postanowili utworzyć jednolity, obejmujący całą b. kongresówkę Polski Związek Nauczycielstwa.

Polski Związek Nauczycielstwa wydał odezwę, której urywki przytaczam:

„Przez 40 lat byliśmy sługami rządowymi, społeczeństwo niechętnym wzrokiem patrzyło na nas, a nauczelnicy dyrektory naukowych pomiatali naszą godnością ludzką... Dostę tego! Musimy pokazać społeczeństwu, że i my należymy do niego i że my razem z nim pracować chcemy. Się dzieliśmy cicho, bo gniołta nas brutalna siła rządu. Dziś, kiedy carat wali się do gruzu, kiedy biurokracja kładzie się do trumny — grzechem społecznym byłoby by abyśmy wahałi się rozpocząć nowe życie”.

W krótkim czasie tę pilaszewską deklarację podpisało ponad tysiąc nauczycieli. Większość szkół zaczęła uczyć po polsku. Za szkołami ludowymi poszły szkoły średnie i wyższe, rządowe i prywatne.

Związek Nauczycielstwa zorganizowany w czasie okrutnego ucisku i wyzysku do walki o szkołę, o postęp, co wyraźnie z deklaracji pilaszewskiej widać, nie lęka się konsekwencji grożących mu za tę działalność. Pracując z całym zapalem, rewolucjonizuje społeczeństwo, podnosi ideowy i moralny poziom całego środowiska. Widać z uchwytu wyżej przytoczonej, widać z działania, że jest transmisją rewolucyjnej myśli do ogółu nauczycieli a przez nich — do mas chłopów. Nie wlecząc się w ogień walczących mas, lecz razem z nimi bierze udział w walce.

Znaczna część nauczycielstwa województwa łódzkiego nadal przodowała w walce o postęp. Wyraźnie widać to znowu w powiecie łowickim. Działali tu aż kilku nauczycieli — komunistów: Jan Wojda, Stanisław Bródka, którzy w okresie okupacji hitlerowskiej zostali straceni. Duża część nauczyciel-

stwa walczy z Chjeno-Piastem, z sanacją, z ozonem, z wpływami kleru o pełną i całkowicie bezpłatną szkołę, podnosi swój poziom zawodowy, szerzy wiedzę rolniczą i polityczną wśród chłopów.

Wywołuje to dużo konfliktów z władzami, z klerem, z kulakstwem.

Mieliśmy takich cenionych przez nauczycielstwo i postępową część społeczeństwa, a znienawidzonych przez reakcję wszelkiej maści, kolegów jak Wacław Jędrzejewski z Wielunia, Borczyk z Radomska, Jaworowski z Moszczenicy, Wojda i Bródka z pow. łowickiego, Norwiński, dzisiejszy pracownik Zarządu Okręgu i wielu, wielu innych, którzy bez względu na konsekwencje mocno sprawę szkoły, nauczyciela, postępu stawiali.

Dużą część nauczycielstwa pracuje społecznie. Nie było gromady w naszym województwie, w której nauczyciel nie byłby organizatorem kursów dla dorosłych, zespołów amatorskich, czy zresztą sportowych.

Zdobywa sobie zaufanie postępowej części społeczeństwa. Rządy z okresu międzywojennego starają się metodami brutalnego nacisku, zastraszaniem wciągnąć nauczycielstwo do roboty na swoją korzyść. Np. kol. Wacławowi Jędrzejewskiemu z pow. wieluńskiego za ustąpienie z prezesury Zarządu Oddziału proponuje się stanowisko dyrektora banku. Kol. Jędrzejewski jednak, gdy wizytator Petrykowski zwołał nauczycielstwo pow. wieluńskiego i kazał mu agitować za głosowanie na listę BBWR-u — wstał i oświadczył:

„Panie wizytatorze! Przetrzymaliśmy ucisk carski, kajzerowski, „przetrzymamy ucisk jaśniepański i pana, panie wizytatorze. Nie tylko nie będziemy agitować wśród chłopów, ale sami nie będziemy głosowali na jedynkę. Koledzy, wychodzimy”!

I wszyscy zebrani opuścili salę. Podobne wypadki mieliśmy i w innych powiatach. Jestem daleki od twierdzenia, iż wszyscy nauczyciele byli podobni. Byli i tacy, którzy wysługiwali się i klerowi i sanacji, ale takich była wyraźna mniejszość.

Na działalności postępowych nauczycieli widać było w tym okresie wyraźny wpływ KPP i lewicowego nurtu PPS.

Sytuacja po ujęciu władzy w Polsce przez lud pracujący miast i wsi zupełnie się zmieniła. Postulaty pilaszewskie nie tylko zostały zrealizowane, ale wyraźnie przekroczono. Rewolucja kulturalna, budząc nienasycony głód wiedzy i dóbr kulturalnych ogarnia wciąż swym twórczym porywem coraz i coraz szersze masy ludowe, stawiając zwłaszcza przed nauczycielstwem i wychowawcami oraz działaczami na polu oświaty i nauki, nowe i coraz bardziej odpowiedzialne zadania.

ANTONI ŁUCZAK

Donoszę, panie naczelniku...



W ybaczyć, Towarzyszu Naczelniku, że tych kilka słów ośmieliłem się ożom Waszym przedstawić i utrudzić je, umęczyć czytaniem tego, co tu napisałem, a przed tym w cichoci obmyśliłem. Aż dech mi zapiera, jak pomyśle sobie, że czasem w człowieku tyle odwagi się zbiera. Przecież, Wy sami, własnoręcznie list ten otworzyliście i w paluszkach Wasze wzięliście. Po prostu wierzyć się nie chce. Człowiek i pośmiały się i poplakany ze szczęścia. No, bo jakże? Przecież mierzmy ze mną cześć, mierzmy. Kto tam o mnie słyszał...? A, proszę — do Was napisałem. Nie gniewajcie się na mnie, że ja tak od razu Wam wszystko... Ale zrozumcie, Towarzyszu, u nas co na sercu, to i na języku. A na sercu tyle spraw się nazbierało, że myślę sobie: nie obrażacie się. Siadłem i napisałem.

Rodzinnym człowiekiem jestem, działkami obarczony. Mam troje — a ten najmłodszy, Grzesio — to, wiecie, że aż się serce ścisła. Taką mały, a taki rozumny. Mówi do mnie: „Tatku, kiedy ja będę duży, bo ja chcę budować socjalizm”. Wiecie, jak się postucha tego szczeniaka, to od razu na duszy przyjemniej. Błogosław człowiek, który. A jak przypomni sobie wtedy, że wrogowie wszędzie czyhają, to we wściekłość taką wpada, że by ich pozabijał. Wybaczyć mi Towarzyszu, ale ja tak z prostoty serca. Nie marszczcie sobie czoła, bo i nie warto. Zmarszczki gdzie indziej się przydadzą. Na wrogu!

U nas, Towarzyszu Naczelniku, w gazetach piszą — a czytać gazetki osobliwie lubię — i to i owo. Ostatnio o decentralizacji. Że niby prowincji nie będzie. Wtedy wzięłem to sobie na rozum i pomyślałem tak: w gazetkach różne rzeczy piszą. Bo to, wiecie sami, nie każdemu powiedzieć można. A zrobić — to już co innego. Zawsze rzeczy swoją koleją szły. I myślę sobie dalej: po co ta decentralizacja? Dla kogo? — pytam się. Dla kogo? Bo to i ludzie u nas? Co za ludzie? Łzy ronić jedną po drugiej. Kijem rozumu im nie napędzisz.

Wczoraj z rana biorę sobie gazetkę, przeglądam i aż ręce zatarłem. O — mówię sobie — nie taki głupi jestem. Ot, widzisz, mądrzejsi są od ciebie, a tak samo myślą. Wzięli z Łodzi „Mat-

kę” Rodakowskiego, wzięli Trupityk z Piawna i już nie oddadzą. Decentralizacja decentralizacją, a stolica — stolica. I tylko śmiech pusty mnie bierze, że komuś się to nie podoba. Krzyżalbym: „Dokąd wycieczki z zagranicy przyjadą? Do Warszawy. Co turystom pokaż? Warszawę. Gdzie ludzie światli mieszkają? W Warszawie. A wam się obrazów zachciało? I tak i tak ich nie widzieliście. I po co wam patrzeć? O, tam, tam są tacy, co to usiądą sobie i popatrzą i słodko się im — z przeproszeniem — w głębie robi”. Krzyżalbym, bo już taki człowiek jestem. Wybuchowy, że aż mnie czasem wstyd za siebie.

Ale ja tu sobie gadu, gadu, a o sprawie nic. Otóż i ona — znaczy się, sprawa. Jak sobie pomyślałem, to przyszło mi do głowy, że ta akcja — wybaczyć Towarzyszu Naczelniku — jakaś taka dorywcza, kampanijna. Że to, wiecie, no — bez planu. Bo na mój rozum — ja to tak z prostoty serca — to trzeba by wziąć się do niej z większym rozmachem. Ot, na przykład Kalisz. Wisi tam obraz. I gdzie? W kościele. Sam widziałem. A podobno obraz cenny Rubens czy ktoś tam go malował. Zabrać do Warszawy! Tylko upierw może by odczytać o decentralizacji urzędzić. Ot tak, sam rozumieć. Ludzie lubią posłuchać. Albo Kraków. To aż serce boli. Wawel tam stoi. Toż to po prostu zabytek, sama kultura. I w Krakowie. Chodzą tam różni chuligani i inni bezwstydni, co to cenne zdrowie towarzysza Putramenta psują i nic o nie nie stoją jakby nie byli Polakami. A w Warszawie światła młodzież tylko męczy się i męczy. I chce zobaczyć i nie może. Bo i jak? Chyba że w pociąg. A tak, Towarzyszu Naczelniku, wzięli ten Wawel i przenieść. Do Warszawy. Czytalem, że to możliwe. A jaka by korzyść z tego! I gośćom z zagranicy pokazać i miejscową młodzież robotniczo-chłopską poprowadzić. Niech zobaczą co mają, niech się ucieszą!

Te dwa skromne pomysły, które tak sam siedząc i głowę tamiąc umyśliłem, ośmieliłem się Wam przedstawić, Towarzyszu Naczelniku, budząc się nadzieję, że a nuż zachodu Wam oszczędzą i troski rozliczne, co Wam na pewno czoło osłodzi rozgonią. Ośmieliłem się również upraszać Szanownego Towarzysza o jakiś medalik, choćby dziecinnie, za te moje starania samorządne z dobrej woli, ze szczerości serca płynące, a to tym usilniej, że rodzinny człowiekiem jestem i mój Grzesio pyta stale: „Tatku, czemu nie masz medalu?” — a ja nie wiem co odpowiedzieć. O tę odpowiedź zwracam się więc do Was, Towarzyszu Naczelniku, powołując się na swe usługi, położone tutaj w ramach decentralizacji, które postaram się jeszcze podwoić, a jak sił starczy i potroić.

KRONIKARZ

P.S. W Łodzi, Towarzyszu Naczelniku, jest jeszcze — jak słyszałem — portret jakiegoś sędziwego wujka. Matejko go malował. Zabrać! Natychmiast zabrać.

Wygnanie z cieplarni

(Dokończenie ze str. 1)

praktyki z którą wypadło się po studiach zetknąć. Jest to zadanie niezmiernej wagi. Chodzi tu o zerwanie z tradycją cieplarni akademickiej, w której nie narodzi się bojowy, obywatelski z kłopotami szkoły nauczyciel. Nie narodzi się typ inteligenta odpowiadający potrzebom naszych czasów.

Pisał do mnie niedawno stary, wypróbowany przyjaciel z lat uniwersyteckich — Wojciech Bajerowicz. Jego pokazowa lekcja z literatury wzbudziła swojego czasu powszechnie uznanie. I nasze i czynników oświatowych. Wojciech siedzi dziś na głębokiej wsi szczebiąc, gdzie młodego nauczyciela osaczyły naprawdę skomplikowane sprawy. Mnie wiele czasu zanim pozna współczesne konflikty polityczne wsi, zanim się wgrzyzie w środowisko przez które przebiega ostra linia klasowego podziału. Upłynęło niemało czasu nim nauczy się wygrzywać szkołę w walce o przebudowę środowiska. I musi wiele czasu upłynąć, gdyż tego związku z życiem, powiązania z żywą problematyką społeczną narodu mieliśmy w latach studiów zbyt mało. Wojciech sobie z pewnością poradzi. Jakże jednak było by dobrze, gdyby pojęcie dobrego, przodującego studenta wiązało się ściśle z jego przyszłą, samodzielną pracą.

JOZEF WIŚNIEWSKI

JERZY PANASEWICZ

Garść uwag chaotycznych

W Rawie Mazowieckiej byłem po raz pierwszy. Nie pojechałem tam bynajmniej z jasno określonym celem — chciałem po prostu powęszyc, poszukać. W duchu liczyłem na kolegę lekarza, który miałem nadzieję, naprowadzi mnie na trop, na trop tematu. Szukając go, włożyłem się po mieście. I wówczas rzucił mi się w oczy przychodnia na wąskiej, żaloznej uliczce sklep. Na wystawowym oknie stały trumny. Tusze, ohydne aniołki mizdrzyły się z trumienami desek do niebieskich przechodniów. A obok, w parterowym, przygarbionym domeczku między przybrudzonymi szymbalami leżały czerwone pomidory. Dojrzwiałe, gnity. Pod gardło podszedł mi rośnący skurcz podniecenia. Mam — wolałem niemo sam do siebie. Mam — jeżeli nie temat — to przynajmniej symbol i synonim tematu zawartą między tłustymi aniołkami a pomidorami gnijącymi za oknem. Przez chwilę zamajaczyły mi czarne litery tytułu „W mieście gnijących pomidorów”.

Potem otrząsnąłem. Odszukałem kolegę, zebrałem nieco materiału, wpakowałem się w jadący do Łodzi autobus i dopiero wówczas zacząłem się zastanawiać nad „anielsko-pomidorowym” symbolem. Nie chodziło mi — rzecz prosta — o pokusę szmiry, jaką odczuwał chyba każdy mający kiedykolwiek do czynienia z piórem. Chodziło mi o upióra tematu — tak to sobie wówczas nazwałem — który zwiłdzał mi się w miasteczku Rawie, i który zwiłdzał się niemal wszystkim reportażystom jadącym do małych miasteczek. Upiór tematu — a co to jest?

* * *

W kilka dni po powrocie do Łodzi przeczytałem zamieszczony w ostatnim

numerze „Kroniki” artykuł Jana Koprowskiego pod obiecującym tytułem „Spór o reportaż”. Podjęcie palącej sprawy reportażu wydało mi się arcyślusne — zaniepokoiło mnie jedynie, że Koprowski nawiązując do niemiec, austriackich i francuskich dyskusji o reportażu, skrupulatnie przemilczał wszystko, co się o reportażu powiedziało u nas.

I tak brakuje w jego artykule — a to chyba wielka szkoda — bodaj próby polemiki ze znaną definicją reportażu, daną przez Polewoja (konkretnie, prawdziwe osoby, konkretne miejsce akcji, konkretne fakty i konkretny adres odbiorcy), którą na nasz grunt uściwiał zaszczytlik Marian Brandys w artykule „Ucieczka od prawdy” („Nowa kultura” nr 14, 1953).

Wspominam o tym bynajmniej nie dlatego, aby rozpalic filologiczny spór o specyfikę reportażu. Wspominam o tym dlatego, ponieważ dyskutując o reportażu, winniśmy przecież znać przedmiot dyskusji! — a jak dotychczas, nasze rozumienie reportażu, jako gatunku jest nadzwyczaj płynne. Z jednej strony ociera się bowiem reportaż o coś, co nazwałbym opowieścią reportażową, z drugiej o coś, co zaliczyłbym do artykułów publicystycznych. I tak — aby poprzeć uwagi konkretnymi przykładami — czy publikacje Jerzego Lovella („Są takie dzielnice”, „Reportaż o pokusach władzy”, „Reportaż o manowcach władzy” i inne — „Życie literackie” i „Nowa kultura” 1955) to jeszcze reportaż czy już nie? Według Polewoja na pewno nie — zmyślone nazwiska, miasteczko oznaczone literą N. („Reportaż o manowcach władzy”) itd. Według Koprowskiego właściwie tak — bowiem „prawdziwy musi być (tylko — przyp. mój J. P.) problem, któremu poświęcamy nasz talent i na-

że pióro”. A problem poruszony przez Lovella jest na pewno prawdziwy — czy zdarzenie uszczególniające ten problem jest natomiast prawdziwe, nie wiem.

I na odwrót, choć to już sprawa wiążąca się z moim punktem wyjścia. Czy?...

* * *

Szukając bliższego wyjaśnienia tego, co nazwałem „upiórem klimatu”, przewertowałem sterty czasopism i przeczytałem furę artykułów. Doszedłem wówczas do wniosku, że upiór ten — jeżeli już pozostaniemy przy nienajfortunniejszym określeniu — jest po prostu fałszywą stawką na pseudointeligenzję jest wynikiem oszłolnienia reportażysty zadziwiająca „imność” życia w małym miasteczku. Reportażysta jadący do małego miasteczka — a ten zakres tematyczny przyjął w swoich poszukiwaniach — natychmiast dostrzega dwie rzeczy — nudę i opuszczenie. I te dwie rzeczy stara się wygrać. Zaczyna zacytować anegdoty (przykładowo: reportaż Józefa Henila „Rawskie paradoksy”: „Kronika” nr 8, 1955, wzgl. reportaż Salomona Łastika z Kutna — „Przegląd kulturalny” nr 30, 1953), albo podniesienia drugorzędnych obserwacji do rangi uogólniającej metafory (przykładem, bardzo zresztą udanym, może być zamieszczony w poprzednim numerze „Kroniki” reportaż z Kielc Lecha Budreckiego).

Po takim wstępie zadanie reportażysty jest już prościutkie i sprowadza się do zabrania czytelnika na wędrowną po instytucjach i świetlicach. Rzecz kończy się zwykłym morałem równie podniosłym jak u Łastika: Kutno potrzebuje Powiatowego Domu Kultury...

Podany schemat nie jest — rzecz prosta — zły sam w sobie. Zły jest tylko to, że jest on nadzbyt powszechny. Jego ograniczona nośność sprowadza się w wielu wypadkach do dostarczania materiałów dla wielkiej powieści, ukazującej miasteczko — monstrum i miasteczko — otlach. Gubi on specy-

fikę miasteczek — inna jest bowiem nuda w Rawie, a inna na przykład w Kutnie.

Nie zrozumcie mnie źle. Powtarzam — to nie schemat jest zły, a źli są reportażysty. Zastosowanie tego schematu jest jedynie dość pewnym sprawdzianem, że autor reportażu dał się zaszkokować, że postawił na „egzotykę”. Sztuka doświadczenia wstępnej metafory nie do urzędów a do ludzi, rzadko się udaje — dokonaj jej we wspomnianym już reportażu Lecha Budreckiego ale dlatego, że potem postawił na plotkę. Plotka zaś stanowi, myślę, że czarodziejskie drzewo, przez które można wejść do wnętrza skomplikowanego życia małego miasteczka (radzę porównać reportaż Jerzego Urbana „Przepraszam, że przeszkadzam...” — „Po prostu”, nr 29, 1955).

I tu powinny przyjść przykłady. Ale przykładów nie będzie — publikacje, którymi chciałem poprzeć swoje wywody, budzą bowiem we mnie wątpliwości, czy można zaliczyć je do reportażu. Daremnie szukałem granicy demarkacyjnej między reportażem a artykułem publicystycznym i kryteriów zdolnych wyznaczyć rozciągłość gatunku. Daremnie studiowałem trzy i cztery razy artykuł Jana Koprowskiego.

Pytałem siebie — co może być tematem reportażu? Czy reportaż musi mieć swojego bohatera? Czy bohaterem reportażu może być sam autor?

Jeżeli nie (odpowiadam tu na ostatnie pytanie), to gdzie umieścić większość prac Ego Erwina Kisch z jego reportażami z Monte Carlo i Lourdes na czele? Jeżeli tak, to czy jest reportażem publikacja Zygmunta Fijasa „W miasteczku” („Kronika”, nr 9, 1955)? Chyba jest — posiada ona bohatera (autor) i akcję, jeżeli akcją można nazwać wtręty w rodzaj „Wszędzie bowiem do budynku...”. Ale spróbujcie usunąć kilka podrozdziałków i dać artykułowi inny tytuł — np. „Notatki z Sieradza” a wydźwięk artykułu publicystyczny.

Powiedziałem „kilka podrozdziałków”. Uchwyciłem się tego jak pijany płota — co w nich jest? Może to posłuży nam do wyznaczenia granicy reportażu?

Nie, nie posłuży. W podrozdziałkach tych są bowiem dialogi i wspomniane wtręty markujące akcję. Czy w publicystyce nie może być dialogów? Czy wtręty zmieniają sprawę?

Doprawdy, boję się, że tą drogą daleko nie zajdziemy. Ktorekolwiek z zagadnień reportażu wzięmy pod uwagę — zawsze będzie zaważać nam nieznajomość kryteriów zdolnych wyznaczyć rozciągłość gatunku. Koprowski mówi np. o „reportażu gazety”. Przecież to jest reportaż, który z żelazną konsekwencją stosuje założenia Polewoja. Jest już literacko — być może. Ale jest konkretny i wiarygodny — odbiorca wierz w fakty podane w reportażu, bo ma maksimum gwarantów ich sprawdzalności.

* * *

Nie, nie zachęcam — powtarzam raz jeszcze — do filologicznego sporu o specyfikę reportażu, bo mógłby się on na jednym swoim skrajnym przynajmniej (reportaż — artykuł publicystyczny) przerodzić w spór o specyfikę sztuki, a to pogrzebałoby dyskusję z kretesem. Proponuję jedynie robocze przyjęcie definicji Polewoja, robocze wprowadzenie terminu „opowieść reportażowa” w tym zakresie uprawnień, jaki Koprowski proponuje dla całego reportażu i równie robocze założenie, że reportaż musi mieć bohatera (nawet gdyby to był sam autor) i akcję.

A jeżeli dyskusja o specyfice reportażu ma mimo wszystko wybuchnąć, to najusilniej proszę o podawanie przykładów — w artykule Jana Koprowskiego brakuje ich bowiem wyraźnie, a Kisch i Lovell, na których się powołuję, niezbyst zdecydowanie siedzą w jego teoretycznych wywodach.

JERZY PANASEWICZ

Młode kartofle

HISTORIA, którą chciałbym opowiedzieć, wydarzyła się w małym miasteczku niemieckim Klein-Glienke, niedaleko Poczdamu — na brandenburskiej ziemi. Do parterowego domku, położonego już właściwie poza granicami miasteczka wśród otwierających się ogrodów i rozsiadanych z rzadka wysokich sosn, wracał z wojennego szpitala na wschodzie żołnierz imieniem Maksymilian.

Był to człowiek żonaty, ale bezdzietny. Żona wyczekiwała powrotu męża z radosnym niepokojem w sercu. Pisał przecież o tym, że przyjeżdża i choć nie określił wyraźnie, czy otrzymał kilkunastu dniowy urlop, czy też całkowite zwolnienie ze służby — żona cieszyła się z samego faktu przyjazdu jego do domu. Nareszcie zobaczy go po tylu miesiącach męki. Gdy zdarzył się, że nie pisał listów przez czas dłuższy, przychodziły jej najczarniejsze myśli do głowy, których nie miała by odwagi wyrazić słowami. List rozwiewał te wszystkie myśli, cieszył ją, ale na krótko.

W dniu, na który zapowiedział swój przyjazd, nie się jej jakoś nie udawało. Zbiła kilka talerzy, wszystko, czego się tknęła, leciało jej z rąk, które zdawały się być drewniane. Posprzątała mimo to dom nalezyście, poscierała kurzy, starając się dotrzeć do najdrobniejszych pyłków w zakamarkach ścian, ale przez cały czas nie opuszczała jej niezrozumiałe dla niej samej drżenie. Często zaglądała do lusterka wiszącego na ścianie tuż przy oknie, by sprawdzić swój wygląd i urodę. Upudrowała się nawet, czego nigdy ostatnio nie czyniła. Był to piękny dzień lipcowy 1943 roku. Niebo było czyste i pogodne. Lećlu ki wiatr buszował w zielonych ogrodach.

Maksymilian wracał do Klein-Glienke przez rozległe obszary wschodniej Europy. Z okna pociągu widział zdewastowane ziemie Ukrainy, popalone chaty, potrzaskane od bomb kilofy drzew, głębokie doły wzdłuż torów kolejowych. W Polsce powtarzały się te same obrazy zniszczenia.

Serce i mózg Maksymiliana wypełniała jedna tylko myśl i jedno uczucie. Od tej chwili czuje się zwolniony z obowiązku odpowiedzialności za to wszystko, co oglądał z okna wagonu, a w czym wcześniej, przed miesiącami, sam brał udział. Doznał przez chwilę skurczu w okolicy serca, potem jednak poddał się fall przyjemnego wzruszenia. Niedługo będzie już w swoim domku na skraju małego brandenburskiego miasteczka, gdzie oko jego ucieśnią wysokie strzeliste sosny, ogrody i warzywny działki.

Po załamaniu się stalingradzkiej ofensywy zrozumiał, że Hitler przegra i sprawa wojny była mu już prawie obojętna. Od tamtego czasu myśli jego coraz częściej płynęły w stronę domu: ocalał go z pożogi, która objęła

świat na wschodzie. Co się z resztą świata stanie, nie go to nie obchodziło. Niech się tam wszystko uwarzy w tym piekielnym garnku.

Do Klein-Glienke przybył przed wieczorem. Z przyjemnością stwierdził, że nic się tu nie zmieniło. Szedł znajomymi uliczkami, po drodze spotykał znajomych ludzi, których pozdrawiał i którzy go pozdrawiali. Zdziwił się nieco, że nikt nie próbował go zatrzymać i zapytać, skąd wraca i jak tam na froncie, ale sam sobie wytłumaczył, że ludzie mają przecież swoje obowiązki i sprawy, a ponadto wstydzą się — być może — zatrzymać go tak po prostu, na ulicy. Mundur zawsze budził pewne omieszlenie, zwłaszcza tu, w tym kraju i to w czasach ostatnich.

Gdy Maksymilian ujrzał swój domek z daleka, musiał na chwilę przystanąć. Serce zabiło w nim mocniej. Oparł się o jakiś parkan, postać i dopiero ruszył wolno przed siebie. Chciałby znaleźć się już w tej chwili w pokoju, w którym tyle razy zasiadał za stołem, brał jadło z rąk żony, uśmiechał się, słuchał radia. Ale drogę trzeba było przejść własnymi krokami. Przebył ją z trudem. Zdawało mu się, że ten jego marsz trwa całe godziny. Znalazłszy się przed furtką, znowu przystanął. Owiał go nie dający się nazwać ani określić zapach czegoś bliskiego. Z trudem otworzył drzwi i stanął w progu. Nie pozdrowił żony, gdyż nagle słowa utonęły mu w gardle, nie zdjął czapki. Żona zobaczywszy go, chwyciła się za głowę, chciała krzyknąć z radości, po czym podbiegła do niego i rzuciwszy mu się na szyję, zaplakała. Maksymilian objął ją lewą ręką i długo tulił do siebie. Tworzył tak bez słowa, gdy wtém żona, jakby przywołując siebie do rzeczywistości, oderwała się od niego, wyprostowała, podniosła ręce do oczu, jakby chciała strząsnąć z nich resztki łez. I wtedy przypomniała sobie, że przed chwilą Maksymilian obejmował ją tylko jedną ręką. Spojrzała na niego uważnie i znowu ręką zawirowała jej pod powiekami. Nie mogąc wyrzec słowa, odwróciła się. Maksymilian poszedł za nią, zdjął czapkę i usiadł przy stole.

— Więc jestem we własnym domu — powiedział wreszcie, by przerwać niewygodne milczenie.

Żona popatrzyła na niego i nie odpowiedziała.

— Więc jestem we własnym domu i już go nie opuszczę — powiedział po raz drugi.

Żona posłyszała tylko: „i już go nie opuszczę”. Spojrzała najpierw w jego twarz, a potem na prawy rękaw: pusty i zmięty.

— Skończyłem wojowanie.

— No i co? — spytała wreszcie, dziwiąc się własnym słowom.

— Nic. Zostanę w domu. Pójdę do pracy. Tam — wskazał ręką — kłeska.

— Co?
— Koniec.
— Jak to?
— Kłeska — powtórzył.

Zamilkli oboje. Potem Maksymilian poprosił o szklanke wody. Podała mu ją i przypomniała sobie, że czas pomyśleć o jedzeniu. Zaczęła się krzątać przy kuchni.

— Wiesz, co — odezwał się Maksymilian — rozpal ogień, a ja nakopię młodych kartofli w ogródku. Mam wielki apetyt na młode kartofle. Chciała to zrobić sama, ale jej nie pozwolił.

Wyszedł w rozpiętym mundurze do ogródka. Powiódł wzrokiem po małej zielonej przestrzeni, otoczonej niskim płotkiem, za którym rozciągały się pola i łąki, dalekie sosny, nad nimi huśtały się małe, przedwieczorne obłoczki.

Maksymilian cieszył się każdym wynuraniem z ziemi łętem. Kartofle były duże i ładne. Kopał powoli, osypywał je z ziemi i kładł po jednym do dużego blaszanego garnka. W tej czynności odnajdywał teraz wszystko: spokój, dom, żonę, ciszę i pewność.

Trzeba mieć pewność, że to nie sen — myślał ta plątała mu się nieustannie po głowie.

Nakopawszy pełen garnek kartofli, usiadł na chwilę w brudzie i patrzył na mały, kołyszący się w górze nad sosnami letni obłoczek.

Było już prawie ciemno, gdy wszedł do domu. Ogień trząsał wesoło nad kuchnią. Maksymilian nie pozwolił żonie dotknąć kartofli. Sam je opłukał w wodzie i postawił na blasze. Potem usiadł i patrzył w ogień, tak jak się patrzy w czyiste oczy. Żona opuściła zastawę na okna i zapaliła światło. Wyšla na dwór, by sprawdzić czy światło nie przecieka przez szczeliny. Wróciwszy, siadła w milczeniu obok niego.

— Powiedz mi, jak długo gotują się kartofle? — zapytał ją Maksymilian.

— Po zagotowaniu się wody, trzeba przez 15 minut trzymać je na ogniu, a potem jeszcze trochę nad parą, żeby nabrały smaku.

— Aha.

Co chwila zaglądał do garnka, to

znowu patrzył na zegarek. Kartofle leżały w cieplej już, ale nie gotującej się jeszcze wodzie. Na powierzchni wody zaczęła się tworzyć mała pianka. Wkrótce kartofle znikły pod nią. Maksymilian podszedł do kredensu, wyciągnął zeń łyżki, widelce i talerze i zaczął nakrywać do stołu.

— Nareszcie w domu. Przy stole. Po ludzku — mówił jakby tylko do siebie.

Gdy poszedł powtórnie do kuchni, kartofle podskakiwały w gotującej się wodzie. Znowu skierował wzrok na zegarek. Czuł jak ślina napływa mu do ust. Teraz stał już przy kuchni i bacznie patrzył w perkotający garnek z kartoflami. Żona siedziała przy stole.

Wtem rozległ się znany obojemu dźwięk syreny alarmowej. Spojrzeli sobie w oczy: trzeba uchodzić do schronu. Za chwilę słychać było nawoływania, płynące z ulic miasteczka. Spojrzeli na kartofle, które gotowały się już teraz gwałtownie, jakby prze-czuwając, że czas nagli. Żona wygasła ogień, wzięła pęd i małą, gotową jak co dzień, walizkę i pociągnęła go za sobą.

Gdy schodzili po kamiennych stopniach w głąb schronu, dążył się słyszeć dalekie pomruki samolotów, a potem działy przeciwlotniczych. Po piętnastu minutach schron trząsł się od warkotu przelatujących samolotów. Strach zaczął się w oczach wszystkich. Ludzie tulili się do siebie, starali się wcisnąć w ścianę, niektórzy zatykali uszy, by nie słyszeć piekielnego, szapiącego nerwy szumu.

Maksymilian pomyślał, że w tej chwili kartofle byłyby już gotowe. Słina pojawiła mu się pod językiem. Przełknął ją z trudem. Żona siedziała tuż przy nim oparta o jego ramię. Była cicha i małutka. I w tę ciszę wtargnął nagły łoskot. Pierwsza bomba spadła na Klein-Glienke. Ktoś pisał z przestrachu, dzieci zaczęły płakać, młodzi i starzy trzęśli się jak w febrze. Potem posypały się dalsze bomby, cała ich seria. Schron ruszał się jak łódź pływająca na wodzie. Maksymilian znał uczucie strachu, ale w tej chwili nie odczuwał go wcale. Pachniały mu młode kartofle, widział garnek skaczący na blasze, unoszącą się zeń parę,

czuł na języku smak wieczery. Myślał niecierpliwie, kiedy nareszcie skończy się ten głupi i nie w porę sprowadzony alarm.

Żona przytulona do niego wzdychała ciężko, chwilami wyrwał się z jej ust bolesny syk. Mała dziewczynka siedząca obok nich mamrotała jak przez sen niezrozumiale, oderwane słowa.

Maksymilian nie wie, jak długo trwało to wszystko. Gdy się uciszyło, podszedł ku wyjściu, chciał biec do domu, ale żona powstrzymała go dygocząc na całym ciele. Alarm nie odwołany, mogą jeszcze wrócić. Czekaj przestępując z nogi na nogę.

Był pierwszy, który po odwołaniu niebezpieczeństwa, wyskoczył ze schronu. Oczom jego ukazał się obraz pełen płomieni. Teraz dopiero uświadomił sobie, co się stało. Klein-Glienke paliło się, domy trzęsły się w ogniu, po ulicach uwijała się straż przeciwpożarowa. Ludzie plakali w głos, latali z ulicy na ulicę jak błędni, załamywali ręce, rozpacz ich była dziecięca i bezradna.

Maksymilian widział z daleka, jak palił się również ich dom i trwał w bezruchu nie wiedząc dlaczego stoi na miejscu i czego tam w dali wypatruje. Żona pociągnęła go za rękaw. Słyszał jak płacze, ale nie spozryzał na nią, choć noc była widna od ognia i mógłby zobaczyć jej twarz dokoła.

Patrzyli jak spala się i załamuje ścianą po ścianie, jak ogień zlizuje smolne obelkowanie zapadłego stropu, jak wśród płomieni przepada ich życie, praca, marzenia.

Maksymilian obszedł dokoła domostwo. Żona wlokła się za nim jak zbity pies skomląc cicho i przejmując. W pewnej chwili zerwała się, by lecieć. By ratować, ale mały powstrzymał ją silnym szarpnięciem ręki. Noc całą spędzili na dworze. Gdy już zmęczenie dało im się we znaki, usiedli opierając się plecami o siebie, na niskiej murawie, ale żadne z nich nie mogło zasnąć. Dom spalił się doszczętnie.

Rano unosił się swąd i ciężki zapach spalenizny. Miasto dymiło resztkami dogasającego pożaru.

Na wschodzie ukazało się słońce wielkie i czerwone. Wschodziło tak, jakby się w Klein-Glienke nie stało. Dzień zapowiadał się piękny, jak wczoraj, gdy Maksymilian wracał do domu.

Stanął na pogorzelsku i patrzył tępym wzrokiem w ziemię. Nie wiedział co począć. W pewnej chwili wyrwał jak-ś pobliski krzak z ziemi, oberwał gałązki i laseczką zaczął grzebać w popiołach. Laseczka trafiła na miękką, przepaloną glinę.

— Koniec — pomyślał Maksymilian i przypomniał sobie to słowo powiedziane wczoraj do żony.

Nagle laseczka uderzyła o coś twardego. Nachylił się i pogrzbawszy wśród popiołów wydobył garnek z kartoflami. Blacha przepaliła się zupełnie, odpadła z wierzchu emalia, ale kartofle ostały się w całości.

Wziął garnek w rękę i podniósł w górę. Doleciał go przepalony wrzawie, ale przyjemny zapach młodych kartofli.

— Coś tam znalazł? — spytała tępym głosem żona.

— Wczorajsze kartofle — powiedział.

— Co?

— Ugotowane — odrzekł idąc za własną myślą.

JAN KOPROWSKI

JERZY FELIKSIK

Starzy tkacze

U nich zmęczenie w oczach i siwa skroń
To nie odbłaski z kawiarnianych luster,
lecz ciężka praca, stare srebro trosk,
Dawna surowość i dawny smutek.

A popękana, stara jak z gliny twarz,
Zawsze jest szara w swym wyrazie prawdy.
Przez kraty złościł ją słoneczny blask,
I ciągle chmurzył czarny dym fabryk.

Ich krok powoli odmierza łódzki bruk.
Ręce już nie chcą wznosić transparentów.
I tylko w parkach, gdzie spokój i chłód,
trwa repetycja z przeszłego wieku.

I powtarzają sobie... a może nam —
Jak trudno było pieść przez łyż przemycić.
My nieuwinni nie słuchamy rad.
Mówimy tylko — starzy emeryci!...

(Dokończenie ze str. 1)

Kierownik jedynej w miasteczku szkoły podstawowej — starszy i po trochu zmęczony już życiem mężczyzna — przerwał rozmowę, odebrał z Komitetu Partii telefon, powiadamiający go o jakimś zebraniu i lekko posapując zaczął opowiadać dalej. Mimo woli przypomniał mi się Żeromski i jego „Siłaczka”. Tak, tu jeszcze do drugiej wojny światowej wegetował — „Obrzydłówek”. Rytm życia wyznaczały obchody i procesje do miejscowej Kalwarii. Ta, choć niedorównująca rozgłosem i znaczeniem innym, słynniejszemu Kalwariom musiała jednak i tak być smakowitym kąskiem, skoro przez wie-

le lat była przedmiotem targów między ówczesnym proboszczem ks. Kielczewskim a opiekującymi się nią Franciszkanami, przezwanymi pogardliwie przez energicznego plebana „chałaciarzami”.

Raz lub dwa razy do roku zjeżdżało do tej zapadłej miejsciny kono jakiegoś nie już do zyskania nie mającego gdzie indziej „filmowca”. I to był prawie cały kontakt przynależącej większości Pakoszczan z kulturą ówczesnej Polski. Przepraszam. Był jeszcze cieszący się aprobatą parafii chór „Halaka”, były amatorskie przedstawienia „Sokoła” czy organizacji przykościelnych i zabawy straży pożarnej. Ale

owe instytucje nie sięgały poza repertuar w rodzaju „Żyd w beczce”, a surowa cenzura proboszcza, drżącego o moralność swych parafian, potrafiła się przyczepić nawet do niewinnej sztuczki o bezposadnych pannach, tyle, że nieopatrznie przez autora zatytułowanej „Gołę panny”.

— A jednak — przerywam z obłudnym westchnieniem kierownikowi, rozglądając się przy tym po obszernej, zapelnionej podręcznikami kancelarii szkolnej — a jednak przydałoby się nieco rozsądnej cenzury wczorajszej akademii.

Akurat w przeddzień rozmowy z kierownikiem, trafitem przypadkowo na uroczystą akademię, urządzoną przez miejscowy ZMP na cześć V Światowego Festiwalu Młodzieży. Najpierw uraczono nas „bojowym” referatem o socjalizmie i walce o pokój, potem — częścią „artystyczną”: chór GS, śpiewający w rytmie kościelnych pieśni piosenki „Mazowsza” i wreszcie — młody zetempowicz zapoznał dwie setki dzieci i młodzieży ze starą balladą o dwóch samochodach — „maleńkiej Skodzie” i „dużym lśniącym Buicku”. „Buick” napotkał podobno „Skodę” pod uliczną latarnią, zawiódł ją do swego „garażu” i tam „roznamietniony, począł z niej zdzierać wszystkie opony”, po czym uwiódł w przepisywany sposób i porzucił na łaskę losu.

Kierownik jest wyraźnie strapiiony. Mnie jednak przejęły dwie inne rozmowy. W pierwszej młody człowiek przez pół godziny twierdził w dobrej wierze, że to bardzo „zgrzywna historia”. A druga? Starsza księgowa GS — postawna paniąka z dobrej woli kierująca świetlicą tej instytucji — odpięła energicznie wszelkie próby podważania artystycznych i wychowawczych walorów ballady o uwiedzonej „Skodzie”. Mówiła, że to „niewinna piosenka” i tylko jakiś stary i wyjątkowo lubieżny rozpustnik mógłby się w niej dopatrzeć czegoś zdrożnego.

— Widzi pan — westchnął kierownik — fakt aprobowania kulturalnej smierzy przez znaczną większość mieszkańców Pakości — nie bojmy się stwierdzenia prawdy — ma kilka przyczyn. Pierwsza, to trwający po dziś dzień w obywatelstwie i sposobie myślenia, wpływ starego; szukać go trzeba w dawnej, przedwojennej atmosferze miasteczka, będącego niegdyś swojego rodzaju, jak pan to nazwał za Żeromskim, prowincjonalnym „Obrzydłówek”. Takim, gdzie gusta i zmysł estetyczny kształtowała właśnie najgorsza smierza, tyle, że z „bogoojczyźnianym” stemplem. Drugi powód, to zbyt słabe i dziś, mimo pozorów, powiązanie miasteczka z wielkimi miastami, tymi centrami nowej, dopiero się tworzącej kultury socjalistycznej. Przecież w województwie czy powiecie pamiętają o naszej Pakości tylko wtedy, gdy trzeba nas wpisać na listę jeszcze jednego ogólnopolskiego konkursu! A weźmy choćby wspomniany już chór i świetlicę GS. Istnieją blisko rok, a nie mogą się mimo prób doczekać instruktora czy choćby fachowej porady z „wyższego szczebla”. Prowadzi je więc tutejszy organista. Niewiele lepiej jest w innych naszych placówkach kulturalnych. Najgorsze jednak, to to, że brak u nas, na miejscu, ludzi, którzy potrafiliby pokierować walką z tkwiącym wciąż w naszym miasteczku zacofaniem, nienadążaniem kulturalnym za resztą kraju. I to pokierować z pasją wspomnianą przez pana „Siłaczki” i „doktora Judy”...

3.

— A czy pan — miałem zamiar spytać — nie mógłby zostać współczesnym



Fot. H. Hermanowicz

Uroki

doktorem Judymem swojego miasteczka? Takim doktorem od spraw kultury i ludzkiej świadomości? Przecież działałby pan nie w pojedynkę, nie w ustroju kapitalistycznym, obojętnym na sprawy kulturalnego rozwoju klas uciskanych — lecz w oparciu o służącą właśnie temu rozwojowi, choć nieraz jeszcze niedołężny aparat kulturalno-oświatowy naszego ludowego państwa?

Pytania tego jednak nie zadałem. Czułem bowiem, że zabrzmi naiwnie wobec tego starszego, zmęczonego już życiem i kilkudziesięcioletnią pracą nauczycielską człowieka, który przed paru chwilami z taką ufnością zwierzał mi się z największej udręki swego żywota: z obowiązku stałego przebywania na świeczniku społecznej nie-naganności, na który — szczególnie w małych miasteczkach — stawiają nauczyciela uczniowie i rodzice, przyjaciele i wrogowie, władze i dewotki.

Ale kierownik sam, jakby odgadując moje myśli, bronił się przed wyrzutem ukrytym w niezaplanowanym pytaniu. Czy wiem — pytał — czym jest kierownik szkoły lub w ogóle nauczyciel w małym miasteczku? Pedagogiem — wyliczał — i administratorem szkoły, studentem zaołcowego kursu nauczycielskiego i agitator-em spółdzielczości produkcyjnej, przewodniczącym komitetu Frontu Narodowego i członkiem wszystkich w miasteczku okolicznościowych komitetów organizacyjnych. To on wiedzie młodzież szkolną w bój przeciw stoncy ziemniaczanej i on prowadzi ją w tryumfalnym pochodzie, którym amibne miasteczko fetuje tytuł wice-mistrza harcerzy przywieziony z zawodów siatkówki... I dziwić się potem, że nie ma w sobie judymowskich pory-

Gdzie byłeś, Adamie?*)

OBERSTURMFÜHRER Filskeit kochał sztukę, muzykę. Był o człowiekiem średniego wzrostu, czarnowłosy; niektórzy uważali że jego blada, inteligentna twarz jest piękna, jednak kanciasta i za duża broda zbyt ściągająca ku dołowi delikatną część jego inteligentnej twarzy i nadawała jej wyraz zarówno przerażającej jak zaskakującej brutalności.

Niegdyś Filskeit był studentem szkoły muzycznej, ale z powodu kochał muzykę, aby zmusić się do tej odrobiny trzeźwości, jaką musi mieć profesor: został urzędnikiem bankowym będąc nadal gorącym wielbicielem muzyki. Śpiew chóralny był jego „konikiem”.

Był pracowity i ambitny, godny zaufania, więc jako urzędnik bankowy bardzo szybko doszedł do stanowiska

był to człowiek łagodny, trochę naiwny, ale niekiedy potrafił przybrać wyraz bardzo surowego. Miał już siwe włosy i był stary, na muzyce nie znalazł się zupełnie. Jednak zawsze asystował przy próbach chóru i niekiedy lekko się uśmiechał. Filskeit nienawidził tego uśmiechu; był to uśmiech miłości, współczującej i bolejącej miłości. Czasem, gdy twarz proboszcza stawała się surowa, Filskeit czuł, że wraz z niechęcią do liturgii rośnie w nim nienawiść do tego uśmiechu. Ten uśmiech „świętego” zdawał się mówić: „Daremnie... daremnie... ale kocham cię”. Filskeit nie chciał być kochanym, co raz bardziej nienawidził religijnych śpiewów i uśmiechu proboszcza, a kiedy Concordia rozstała się ze swym dyrygentem, opuścił też chór kościelny. Często myślał o uśmiechu proboszcza,

nie dowiedziawszy się, że dyrektor tej szkoły nazywał się Neumann i był Żydem.

W roku 1933 opuścił definitywnie posadę w banku, aby całkowicie poświęcić się muzycznym zadaniom w łonie partii. Jego rozprawa „Wzajemny stosunek chóru i rasy” została w pewnej szkole muzycznej oceniona pozytywnie i po kilku skrótach wydrukowana w fachowym piśmie. Teraz Filskeit zaczął sam komponować. Mając stopień Oberbannführera Hitlerjugend opiekował się też SA i SS jako znawca zespołów deklamatorskich oraz chórow męskich i mieszanych.

Jego zalety jako Führera były bezsporne. Kiedy wybuchła wojna, opierał się decyzji, że jest nieodpowiednie potrzebny na tyłach, wielokrotnie starał się o przyjęcie do oddziałów „Totenkopf”, ale dwukrotnie go nie przyjęto, ponieważ był niskim brunetem i bezsprzecznie należał do typu pyknicznego. Nikt nie wiedział, że niekiedy całymi godzinami przesiadywał w domu przed lustrem i przyglądał się temu, co trzeba było bezsprzecznie dostrzec: że nie należy do tej rasy, którą żarliwie uwielbiał, a do której należał Lohengrin.

Ale gdy zgłosił się po raz trzeci, został przyjęty do oddziałów „Totenkopf” bo przedstawił doskonale świadectwa od wszystkich organizacji partyjnych.

W pierwszych latach wojny bardzo cierpiał z powodu swej renomy muzyka: zamiast na front wysłano go na kurs, później został kierownikiem tego kursu, a następnie kierownikiem kursu dla kierowników kursu, prowadził śpiewacze wykształcenie całych armii SS, a jego pierwszym mistrzowskim wyczynem był chór legionistów, należących do 13 rozmaitych narodowości i mówiących 18 rozmaitymi językami, ale w świetnie zharmonizowanym zestroju śpiewających chóralną partię z „Tannhäusera”. Otrzymał w następstwie Wojenny Krzyż Zasługi I-iej klasy, jedno z najrzadszych w armii odznaczeń, ale odwołano go z kursu i dopiero wówczas wysłano na front, gdy po raz dwudziesty zameldował się ochotniczo do służby liniowej. Dostał w roku 1943 niewielki obóz koncentracyjny w Niemczech i na koniec został w roku 1944 komendantem pewnego ghetta na Węgrzech, zaś później, kiedy musiano je zwinąć ze względu na zbliżanie się Rosjan, dostał mały obóz na północy.

Ambicją jego było najdokładniejsze spełnianie wszystkich rozkazów. Wkrótce odkrył, że wśród więźniów znajdują się niesłychane talenty muzyczne. Zaskoczyło go to u Żydów. Zasada selektywnej zastawiania więzi w ten sposób, że wyzwał każdego nowo przybyłego, aby przed nim zaśpiewał. Śpiewacze uzdolnienia więźniów zaznaczał na odpowiedniej karcie w kartotece stawiając oceny od zera do dziesięciu. Niewiele otrzymało zero — ci dostawali się natychmiast do obozowego chóru, ale kto dostał dziesiątkę — mało miał widoków, że przeżyje dłużej niż

Na falach

(Z „Opowieści o zmarłej matce”)

Nie zdradził nigdy cię uśmiech, nie powiedziałaś mi słowa: umiałaś siebie głęboko pod czarną żrenicą chować.

Lecz myśmy przejrzeni milczenie, odkryli w twej surowości ogrom tkliwego wzruszenia, prostej, serdecznej radości.

Bo oto, po długiej chorobie, syn wraca do życia i ludzi, jakby narodził się tobie i ziemi — po raz drugi.

Dom wyniszczony — prawda, wiatry jak lodziami nim chwieją... trosk dwieście dźwigasz na barkach, lecz przecież już z nadzieją.

Nim wstanę — wracasz co rano z koszykiem, a w nim — truskawki, świeżutkie, i jak tanio! (o, duma szczęśliwa matki!)

Witasz nas w obiad pogodną, krzątasz się w żwawym pośpiechu. Wieczorem przy radiu załączysz trzy takty — bo brak oddechu.

W oknie otwartym się wsluchasz w muzykę gwiazd podniosłą... Jak pusto wokół i glucho. Łódź płynie. Złamane wiosło.



Rys. M. Piotrowski

kierownika wydziału. Ale jego prawdziwą namiętnością była muzyka, śpiew chóralny. Zwłaszcza chóry czysto męskie.

Niegdyś, w czasie bardzo odległym, był kierownikiem Męskiego Zrzeszenia Śpiewaczego Concordia, miał wówczas 28 lat, ale było to piętnaście lat temu — wybrano go na dyrygenta chóru, jakkolwiek był laikiem. Nie można by było znaleźć kierownika zawodowego, który z większym zapalem oraz konsekwencją dążyłby do osiągnięcia celów Zrzeszenia. Kiedy dyrygował chórem, widok jego bladej, lekko drgającej twarzy oraz wąskich rąk był fascynujący. Członkowie Zrzeszenia bali się go ze względu na jego dokładność: uważali dyrygenta nie uchodził żaden fałszywy ton, a gdy zdarzała się pomyłka, wybuchał wściekłością — nadszedł więc czas, kiedy ci zani, pocziwi śpiewacy dość już mieli jego surowości i wybrali sobie innego kierownika. Filskeit prowadził też jednocześnie chór kościelny w swej parafii, chociaż liturgii nie uznawał. Korzystał jednak z każdej okazji, aby wziąć w swoje ręce jakiś chór.

Lud nazywał proboszcza „świętym”;

*) Fragment powieści „Wo warst du Adam?” Köln 1951 r.

provincji

wów, że oprócz książek zawodowych i broszur politycznych może wymienić zaledwie 4 powieści przeczytane w ostatnim półroczu oraz jedno — bo do Pakości teatru nie zaglądają — przypadkowo w Toruniu widziane przedstawienie teatralne?

Podobnie jest także z resztą personelu szkolnego. 15 nauczycieli szkoły podstawowej w Pakości czytuje jedynie gazetę i pisma zawodowe. Żaden natomiast — nawet poloniści najbardziej odpowiedzialni za estetyczne wychowanie młodzieży — nie czyta choćby jednego z wychodzących w Polsce pism literackich! Jaki więc mogą w tych warunkach, mieć kontakt z żywym i zmiennym życiem kulturalnym naszych dużych miast, z naszą literaturą i krytyką literacką, jeśli przy tym, co stwierdziłem uprzednio w bibliotece miejskiej — właśnie nauczyciele należą w Pakości do grupy tych czytelników, którzy czytają niewiele i przeważnie tylko wtedy, gdy ze względów zawodowych zmuszeni są sięgnąć do książki.

Toteż, gdy jeden z nauczycieli wspominał mi na pożegnanie, że spróbuję częściej zaglądać do „Kuźnicy” — nie śmiałem mu nawet zwrócić uwagi, iż tygodnik literacki „Kuźnica” przestał wychodzić w Polsce 6 lat temu. Jeszcze jaskrawszego przykładu kulturalnego zapóźnienia prowincjonalnej inteligencji dostarczył mi w dwa dni później człowiek na czołowym stanowisku, przedwojenny inteligent, były warszawiak, który z poważną miną twierdził, że oprócz pism codziennych i „Problemów” czytuje także „Wiadomości Literackie”, które — przypomniał mi — przestały wychodzić w 1939 r.

W dziesięć dni, po rozmowie z kierownikiem szkoły, po raz ostatni wypłynęłam na leniwe wody Noteci. W tym samym, co za pierwszym razem, zielonym jakaku z Pomorskich Zakładów Remontu Maszyn Jedwabniczych — jednej z dwóch istniejących w miasteczku fabryk. I z tym samym, co wtedy, towarzyszem.

Popołudniowe słońce lata przyjęło nas przyjaznym ciepłem. Z kawalerskim fasonem — z uwagi na gapio i dyrektorską godność mego towarzysza — przepłynęliśmy pod wysokim, drewnianym mostem, z którego co chwila spadał w zieloną głębię wody, z zamkniętymi oczami i kurczowo zwartymi u boków dłońmi, jakiś brązowy od słońca smyk. Most łączy bieżącą od rynku ulicę Inowrocławską z szosą do Inowrocławia, najbliższego miasta powiatowego. Z lewej strony szosa, w zieleni lip i krzewów, stercza, jak grzyby w trawie, barokowe kapliczki Kalwarii Pakoskiej — ulubione miejsce pobożnych uniesień dewotek i wieczornych, mniej już pobożnych poczyną zakochanych par.

Gdy więc nie poszło mi wśród tuższego nauczycielstwa — mówiłem bawiąc się płynącą na fali muszlą — spróbowałem szukać współczesnej, socjalistycznej odmiany „Ślaczek” i „doktorów Judymów” wśród waszej inteligencji technicznej. Ona bowiem w Pakości, zgodnie z rejestrem bibliotecznym, czyta stosunkowo dużo i nie gardzi nawet poważniejszą powieścią... — I przekonałem się — uśmiechnął się dyrektor, młody, trzydziestoparolletni człowiek z uniwersyteckim wykształceniem, które zdobywał razem ze mną w Łodzi — i przekonałem się —

ciągnął — że ci, co owe powieści czytają, traktują je głównie jako źródło osobistej rozrywki, względnie jako środek do pogłębienia wiedzy o świecie. Najczęściej jednak nie czują potrzeby dzielenia się tym osobistym zapasem wiedzy i kultury z otaczającym ich środowiskiem. Uważają bowiem, że od tego są wyłącznie kierownicy świetlicy i w ogóle ci, co pracą kulturalno-oświatową trudnią się zawodowo. Stąd zamknięcie się większości naszych inteligentów w rodzinnym kółku czy ciśnień kręgu znajomych. I omijanie przez nich fabrycznej lub wiejskiej świetlicy...

W ciągu czasu, jaki upłynął od rozmowy z kierownikiem szkoły, zdążyłem poznać większość miejscowych inteligencji. Pod ciępkie słowa zacząłem podstawić te konkretne postacie ludzi, których tu poznałem. „Oto — myślałem — kierownik działu jednej z miejscowych fabryk. Człowiek obcy NPR-owsko-chadeckiej przeszłości i dawnej atmosferze tego miasteczka, hodujący gdzieś po kątach nie tylko wrogość do ustroju Polski Ludowej, do postępowej książki i filmu — ale w ogóle do samej idei życia świetlicowego, bo — nawet do postępu technicznego! Ale mimo tego ów kierownik stroni od pracy kulturalno-oświatowej, zostawia ją miejscowemu organowi. Bo jemu wystarczy praca zawodowa, a po niej — paszka, film przyrodniczy, powieść historyczna i filatelistyczne rozkosze!”

„Oto — myślałem — technik po szkole średniej, syn chłopski, kształcący się dalej na korespondencyjnym kursie inżynierskim, czytający tylko podręczniki techniczne i „Przyjaciółkę”, zawierający swoje mieszkanie straszliwymi oleodrukami z opustów. Oto sekretarz Miejskiego Komitetu Partii, dobry i żarliwy towarzysz, uznający jednak z całej literatury polskiej i światowej tylko 2 książki: „Historie WKPB” i „Jak hartowała się stal” — Ostrowskiego. Oto przybyły „ze świata” referent inwencji ze średnim wykształceniem, ma-

raczy przy podlewaniu kwiatków w ogródku o ucieczce do wielkiego miasta. Oto część miejscowych inteligentów „starej daty”, jeszcze przyglądających się nowościom w miasteczku z powściągliwą rezerwą, a czasem z niechęcią...”

— A w ogóle Pakość — kłówał mój towarzysz, spuszczaając do wody nogę i mocząc ją z wyraźną satysfakcją — można prawie zaliczyć, choć się o to ambitni obywateli pakoscy zawsze obrażali, i oczy gotowi byli wykluć swą sięgającą XIII wieku „miejskością”, do na wpół wiejskiego środowiska. Każdy prawie ma tu działkę i Notec pod bokiem, a Bydgoszcz, Łódź, czy inną Warszawę z jej tętniącym życiem kulturalnym — daleko. Toteż najzdolniejsi i najruchliwsi zawsze stąd uciekali. Inni, nawet przybysze, przyzwyczajają się. I wtedy zaczyna się sadyć kwiatki w ogródkach, łowić ryby w Noteci, pić wódke, zimą grać w karty, czytać „Przekrój” i jedną powieść na miesiąc...

— No, mój drogi! — zaprotestowałem z obowiązku reporterskiej obiektywności. — Czy aby odrobinę nie przesadzasz?

— Przesadzam. Ale niedużo — powiedział. — Rzeczywiście, są również tacy, co i chcieliby zostać poszukiwanymi przez ciebie Judymami Pakości. Choćby Czarnokci, dyrektor Roszami, przedwojenny inspicjent z teatru Malickiej w Warszawie, który ostatnio wyreżyserował sam jakąś sztukę. Jest też Łopalka — kierownik świetlicy tych zakładów, samouk, gorący miłośnik artystycznej fotografii i literatury, posiadacz jednej z nielicznych w Pakości prywatnych biblioteczek, który oszczędzając na papierosach, kupił już 180 tomów najwybitniejszych pisarzy światowych, a nawet „Historię Starożytności Grecji i Rzymu”. Ale pierwszy z nich jest „zarżnięty” dyrektorstwem, a drugiego przynajmniej braki w wykształceniu i nadmiar biurokratyzmu w jego kulturalnej funkcji.

— Czyli — powiedziałem uprzejmie

— z rachunku wynika niezbicie, że ostatnim kandydatem na socjalistycznego doktora Judyma od kultury Pakości jesteś jeszcze ty...

— Ja?

— Tak, ty. Tylko nas przed tym nie utop. Bo o tobie świat się nie dowie, a mnie redakcja nie zwróci kosztów podróży — ostrzegłem żywiliwie, wychylając się w drugą stronę dla utrzymania zachwianej równowagi. — A choć jesteś także typowym przykładem dyrektorskiego zaharowania naszych czasów, masz przecież chyba w tygodniu jakieś wolne popołudnia czy wieczory, które nawet dla utrzymania swej własnej kulturalnej sprawności mógłbyś poświęcić pracy społecznej na tak pięknie przez naszych przodków zwanej „kulturalnej niwie”. No, co robisz w wolne wieczory? Na przykład dzisiaj?

Milczał przez chwilę. Gapił się na srebrzącą się w słońcu rybę, wyrwaną nagle ze spokojnej wody przez wędka-rza. Tymczasem ja badałem obróconą do mnie bokiem twarz — młodą jeszcze twarz mego dawnego kolegi z lat studenckich w Łodzi, który po zdobyciu magisterium filozofii wolał — z obawy przed nauczycielską pensją — wykorzystywać dawne kwalifikacje i kierować fabryką naprawy maszyn. Widziałem teraz ten sam wyraz zmęczenia, jaki miał na swej postarzałej, zmęczonej życiem twarzy kierownik szkoły.

— Co robisz dziś wieczorem? — odparł wreszcie głosem wypranym zaraz z nadziei. — Ano, choć pić, jak wiesz nie lubię, wybieram się z sekretarzem Komitetu, przewodniczącym rady narodowej oraz ich żonami, strażackim wozem na wieś, aby stracić ze sto złotych na chłopskiej zabawie. Odmówisz — orzekną, że stronisz od mas i nosa zadzierasz, boś „magister”. Takie to są, bracie, niepisane prawa.

TADEUSZ ŚLUPSKI

KRONIKA 12

Konkurs Mickiewiczowski

W redakcji „Kroniki” łódzcy plastycy złożyli 9 rysunków - ilustracji do różnych utworów poetyckich Adama Mickiewicza. Tak się jakoś stało, że autorzy rysunków nie położyli pod nimi podpisów; WIADOMO TYLKO, IŻ ILUSTRACJE DOTYCZĄ WIERSZY, POEMATÓW LUB UTWORÓW DRAMATYCZNYCH ZAWARTYCH W PIERWSZYCH CZTERECH TOMACH WYDANIA NARODOWEGO DZIEŁ POETY. Jest także wysoce prawdopodobnym, że niektóre utwory - szczególnie obszerniejsze - są ilustrowane kilkoma rysunkami obrazującymi różne ich fragmenty czy epizody.

Znalazłszy się w kłopotach redakcja postanowiła zwrócić się o pomoc do Czytelników „Kroniki” ogłaszając

KONKURS

KTÓRY POLEGA NA ODGADNIĘCIU TYTUŁU ILUSTROWANEGO UTWORU. Pierwsze trzy „zagadkowe” rysunki oraz kupon uprawniający do wzięcia udziału w konkursie zamieszczamy w numerze bieżącym.

Informacje o atrakcyjnych nagrodach konkursowych oraz pozostałe rysunki i kupony znajdują się w 13 i 14 numerze naszego dwutygodnika. Miejsce na umieszczenie imienia, nazwiska i adresu uczestnika konkursu zawierając będzie kupon ostatni, który, wraz z dwoma pierwszymi, winien być przesłany do redakcji do dnia 10 XII br.



RYСУNEK KONKURSOWY Nr 2

Rys. Leszek Różga



RYСУNEK KONKURSOWY NR 3

Rys. Czesław Sadowski

Tańce, figle, nieporozumienia

(Dokończenie ze str. 6)

wcale nie myślę kłócić się o szlachetność Vandalina ale, niestety, nie uważam, aby warunkiem nieskazitelności mężczyzny, ubiegającego się o względy kobiety miała być decyzja ożenku. Ricaredo mówi o nim, że „wspinały był; gdy z dumną miną harcował (na turnieju) na rumaku swym”. Jakże pogodzić go z tym operetkowym graniem przedstawienia? Podobne pretensje mam do roli Tebana. Myślę, że należy nieco poważniej traktować jego uczucia do Felicjany; tekst wcale nie upoważnia do tego, aby robić zeń ramolę, safandulę i pantoflarza.

Łatwo zorientować się z pozycji społecznych bohaterów, że skąd komedii dzieje się w środowisku arystokratycznym. Łatwo? E, chyba nie. Raczej więc kulturę bycia, wytworność ma nierzeczywiście dyktować urodzonych bohaterów zostawmy w sferze naszych gorliwych życzeń, gdyż to, co widzimy na scenie nie jest wiernym odbiciem stylu życia ludzi hiszpańskiego salonu, tak zważającego na ka-

żdą literę etykiety. Czasem bardziej dystyngowany jest Tulio, niż jego pan Vandalino. A przecież „celem prawdziwej komedii — jak powiada Lope de Vega — jest odtwarzanie działania ludzi i malowanie obyczajów tego wieku, w którym żyli”.

Może i słaba dykcja aktorów nie pozwoliła mi doszukać się piękna przekładu W. Słobodnika. Jedno mnie tylko niepokoi: że jest to przekład jakby z drugiej ręki, bo dokonany z języka rosyjskiego. A chyba nie warto chodzić tak określną drogą, skoro mamy w Polsce kilku znawców i tłumaczy literatury hiszpańskiej między in. L. H. Morstina, J. Żukawskiego i T. Peipera.

Lope de Vega cenil najwyższej te komedie, które kosztowały go najwięcej trudu i czasu. Teatr Powszechny woli te, które nastroją okazję do wydobywania maksimum wesołości. Krytyk...? Ale to już jest jego zawodową tajemnicą.

STANISŁAW KASZYŃSKI

Opinie i fakty

Mickiewicz na poziomie liceum

JAN HUSZCZA zwierzył się w swoim wspomnieniu („Kronika” nr 10) z kłopotów maturalnych a. d. MCMXXXIV związanych m. in. z wypracowaniem piśmiennym na temat „Za co kochamy Pana Tadeusza”?

Przeglądałem właśnie bibliogoroczne zadania maturalne absolwentów jednego z liceów pedagogicznych w Łodzi (temat: „Problem walki narodowo-wyzwoleńczej i społecznej w twórczości Adama Mickiewicza”) i doszedłem do przekonania, że wielu autorów tych prac będzie mogło po jakichś dziesięciu, piętnastu latach z równą szczerością co Huszcza — oby i z równym wdziękiem — opisywać swoje na tym polu zawody i rozczarowania.

Sprawa jest o tyle pikantna, że prace te wyszły spod pióra kandydatów na nauczycieli, którzy w obecnej chwili, o ile nie studiują na wyższych uczelniach, to już uczą, prawią o Mickiewiczu, Słowackim... Jak prawią? Czy można na podstawie tych prac powiedzieć coś o autorach? Co nasza młodzież myśli o Mickiewiczu? Jak go rozumie? Jak odczuwa?

Trzeba tu na marginesie zaznaczyć, że z przedstawionych trzech tematów — pierwszy o Krasińskim, jako krytyku moralności szlachty i kleru, drugi o Mickiewiczu, trzeci o Broniewskim, większość zdających wybrała temat drugi; powiedzieli sobie, że nie miała rolę w tym wyborze odegrała wyostrożona i znana wszystkim przenikliwość młodzieży: wiadomo — Rok Mickiewiczowski, uchwały takie i inne — nie trudno więc odgadnąć temat i w związku z tym odpowiednio się przygotować. Duch Mickiewicza został więc ukontentowany — o lepszym kontakcie z czytelnikami trudno marzyć!

Wróćmy jednak do naszych wypracowań. Co w nich uderza? Nawet w tych opatrzonych oceną egzaminatorów: „Temat omówiony dokładnie, inteligentnie, ze znajomością utworów”. Oto przykłady:

„Mickiewicza możemy nazwać wielkim patriotą i bojownikiem sprawy narodowej i społecznej. To nasze twierdzenie poprze i udowodnił przegląd jego twórczości... Mówi on w „Pieśni Filareckiej”: „Mierz siły na zamiary, nie zamiar według sił”. Czyż te słowa nie pokazują młodzieży, jaką wybrać drogę? — tak. I drogę walki młodzież filarecka wybiera. Z każdym dniem jej plany są śmielsze. Ta młodzież nie uleknęła się późniejszych aresztowań, bo przyświeca jej jutrenka swobody, jak mówi Mickiewicz w „Odzie do Młodzieży”.

O „Grażynie” „... Śmielsze spojrzenie na obecną chwilę rzuca Mickiewicz w „Grażynie”, gdzie pod tłem historycznym w postaci Grażyny pokazuje, jakie trzeba zająć stanowisko wobec wroga. Lepiej zginąć, niż paktować z wrogiem...”

O „Konradzie Wallenrodzie”: W utworze tym poeta analizuje pod płaszczykiem historycznym przyczyn upadku państwa polskiego. Widzi on, że carat jest jeszcze silny, że sam szlachecki rewolucjonista bez udziału ludu nie wywalczy zwycięstwa”. Końcowe wnioski: „Piękne były dążenia i cele Adama Mickiewicza, lecz wolność narodową uzyskali dopiero w wiele lat po jego śmierci. Prawdziwą jednak wolność mamy dopiero w Polsce Ludowej”.

Znajomość utworu jest? Jest. Aktualizacja jest? Jest. Analiza stosunków społeczno-politycznych? Proszę bardzo: „Mickiewicz przyczynę upadku Polski widzi w zgubnych władcach... Szczególnie chłopcy byli krzywdzeni i wyzyskiwani. Istnieje wtedy pańszczyzna

i chłopci muszą pracować na pana. Z tym stanem rzeczy bardzo ostro walczą poeci żyjący w tym okresie, a szczególnie Adam Mickiewicz...”

To „szczególnie” warto podkreślić. Znaczący on wiele! Ta sama autorka pisząc o dzisiejszym stosunku społeczeństwa do Mickiewicza powiada, że „dziś mija sto lat od chwili urodzin wieszczu narodu polskiego. Jest powołana specjalna komisja obchodu Roku Mickiewiczowskiego. W Warszawie postawiony jest pomnik Mickiewicza...” Pomijając nieścisłości rzeczowe, historia nabiera w relacji niektórych licealistów osobliwego wydźwięku: ponieważ sprawiedliwy ustrój uzyskali dopiero dziś Mickiewicz zaś jest wieszczem, kto więc przyczynił się do zwycięstwa sprawiedliwości? Oczywiście On, dzięki Niemu to wszystko i w ten sposób odmiana Wieszczu w siedmiu przypadkach. Jeszcze chwila, a Grażyna stanie się prekursorem Ligi Kobiet.

Proszę darować obrazek — znalazłem starego chłopca, który czytał nam zimowymi wieczorami „Pana Tadeusza”. O tym, że to był „Pan Tadeusz” dowiedziałem się znacznie później. Była to książka stara, bez okładek, czarna prawie.

A stary czytał przy jadaszku, kiwając się nad książką w rytmie wiersza. Uderzało nas przede wszystkim słowo. Drukowane słowo. Ze zdziwieniem patrzyłem na niezrozumiałe znaki mogły być przerwy mówić. Cud po prostu. Czasami dochodziła i treść — historię poznaliśmy nawet dość dobrze — jakże po latach wzruszając!

Starego Jabłońskiego już dawno nie ma wśród żyjących — lecz ile razy mam mówić o książce, przypominam sobie jego zasuszoną twarz, skrytą za wielkimi drucianymi okularami.

Czytając pracę młodych kandydatów na nauczycieli odczuwałem żal, że nie znalazłem tam tego, co miał dziekan Jabłoński — serca. Żaru. Dyrektor liceum powiedział: „Pokućujcie jeszcze dawny zetempowski slogan”, a pewien mądry łódzki krytyk, bywałe kawiarni, rzekł ze zmarzniętym czołem: to chyba zmierzchny klasyczny?

Nie nowa to rzecz — slogan, banał, powierzchowne spojrzenie. Dyrektor liceum stwierdził, że frazes zakradł się nawet tam, gdzie go bardzo, bardzo rzadko można zobaczyć — do matematyki! W szkole zakazanieli się mocno — widać to. Zgubił się w tych wypracowaniach Mickiewicz — człowiek, zniknął piękny życiorys, pełen pomyłek, błędów, świadczący o rozwoju człowieka, a wzamian pojawiła się sztuczny ahistoryczny wzór.

Nawoływać do głębszego przeżywania? Do rewizji systemu nauczania? Oczywiście też. Zastanówmy się nad tym.

Chciałbym jednak zaznaczyć, że w opisanym wypadku nie analizuję postawy nauczyciela. Mogł być nauczyciel gorszy, lepszy, o ile mam prawo sądzić w naszym liceum był lepszy, ale wyniki jak wyżej. Dlaczego? Piszę o pewnych schorzeniach w przyjmowaniu literatury przez młodzież. Skąd się bierze taka postawa, co na nią wpływa — warto o tym pomówić.

Dość jednak trzeba, że czytałem prace, nieliczne naprawdę, pisane bez szczernej egzaltacji, rzeczowe, i tutaj znalazłem echo dawnego wzruszenia znanego Jabłońskiemu. Nie, Mickiewicz nie wyruguje się z serca, choćby nie wiem jak stawali na głowie ci wizytatorzy, którzy gonią za aktualizacją, a mądrych krytycy wymyślali zmierzchny klasyczny.

TADEUSZ PAPIER

Nowości wydawnicze

Marek Domański — „Dom nad jeziorem”, Wydawnictwo Literackie, 1955 r., s. 360.

Andrzej Kijowski — „Diabeł, anioł i chłop”, Wydawnictwo Literackie 1955 r., s. 284.

Jan Kott — „Jak wam się podoba”, Państwowy Instytut Wydawniczy 1955, s. 320.

Wojciech Natanson — „Szkice teatralne”, Wydawnictwo Literackie 1955 r., s. 216.

Stanisław Piętak — „Obce światy”, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza 1955 r., s. 258.

Tadeusz Różewicz — „Opadły liście z drzew”, Państwowy Instytut Wydawniczy 1955 r., s. 108.

Lucjan Rudnicki — „Odrodzenie”, wstępem poprzedził R. Matuszewski, Państwowy Instytut Wydawniczy 1955 r., s. 248.

Bogusław Sujkowski — „Bogowie osądzą”, Iskry 1955 r., s. 376.

Maria Szułcka — „Wyboje”, Czytelnik 1955 r., s. 564 nłb. 3.

Jerzy Sładowski — „Przednówek”, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza 1955 r., s. 633.

Jan Wiktor — „Wyznanie heretyka”, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza 1955 r., s. 276.

Ostatnie tygodnie były porą debiutów. Najpierw na półkach księgarskich pojawił się „Diabeł, anioł i chłop” A. Kijowskiego, potem „Opadły liście z drzew” T. Różewicza, „Dom nad jeziorem” M. Domańskiego, „Bogowie osądzą” B. Sujkowskiego, wreszcie zaś „Przednówek” J. Sładowskiego i „Wyboje” M. Szułckiej. Naturalnie były to debiuty prozatorskie. T. Różewicz zdobył już sobie dobrze zastaloną markę jako poeta. „Opadły liście z drzew” jest jego pierwszą próbą prozy. Miejsmy nadzieję, że nie ostatnią. W tomiku tym pisarz nawraca do spraw okupacji. Zjawisko to bardzo charakterystyczne. Zaczyna się coś w rodzaju odrodzenia tej tematyki.

Przypomnijmy, że jedna z najlepszych książek ostatniego roku „Czarny potok” L.

Buczkowskiego sięga również lat 1939—1945.

Debiut powieściopisarski M. Domańskiego jest jedną z najciekawszych pozycji b. roku.

I to nie tylko dzięki atrakcyjności tematu („Prywatna inicjatywa nad mazurskim jeziorem”), lecz — a nawet przede wszystkim — za sprawą wartości pisarskich na pewno nieprzeciętnych, na pewno korzystnie odbijających się od tego tła, które stanowi — jak to się zwykło mawiać — nasza produkcja prozatorska.

I znów sprawa wsi, sprawa, której poświęcono już u nas — w ostatnich latach — wiele, wiele tomów. Tym razem leżą przed nami 4 książki: „Diabeł, anioł i chłop”, A. Kijowskiego, „Obce światy” S. Piętaka, „Przednówek” J. Sładowskiego i „Wyboje” M. Szułckiej. Dwie ostatnie radzimy odrzucić. Zamknąć nieczytać. Chyba, że ktoś gustuje w bardzo grubych książkach, lub w nieudanych debiutach. Dwie pierwsze zastępująć za wszelki miar na uwagę, podobnie jak i „Spowiedź heretyka” J. Wiktora, którą wydała ostatnio Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza. Ten zbiór opowiadań o wsi, opowiadań z różnych lat wyszedł spod pióra doświadczanego pisarza, o którym, niestety, bardzo mało można się dowiedzieć z naszych współczesnych pism literackich.

Powieść historyczna nie jest osobliwością w naszej literaturze. Ale powieść o starożytnej Grecji to rzecz rzadka. „Bogowie osądzą” B. Sujkowskiego mówi o Maratonie i Termopilach, o Leonidzie i Milcjadesie. Ma znaczną wartość informacyjną. Może posłużyć jako popularny wykład z historii Grecji — z historią obyczajów, kultury i materialnej itd. Użyteczność jej jest więc duża. Jako dzieło sztuki pisarskiej wydaje się natomiast znacznie mniej ciekawa.

(Dokończenie na str. 8)

KORESPONDENCJA

KOPCIUSZEK NASZEJ KULTURY

Prawdy ukryć się nie da. Język nasz jest wykończony i zubożały, a bodaj najlżejszym tego dowodem jest np. rozpanoszenie się wyrazu likwidować kosztem 52 (tak!) wyrazów i wyrażań polskich, bardzo dosadnych i obrazowych (większą ich część znajdziemy w „Polskiej” nr 4-54). Potemnie znajomość języka wiąże się ściśle z wykształceniem, jakkolwiek dzieła autorów posiadających tytuły naukowe zawierają nieraz ciężkie grzechy w tym zakresie. Znany profesor w dziele medycznym mówi o „omyłkach rozpoznawczych” (!), a nauczyciel doradza urządzenie „wycieczek produkcyjnych” (!). Albo np. takie kwiatki: „Na trwałych obecnie koloniach letnich tysiące dzieci wakacje dzielące je od nowego roku nauki radośnie spędzają na wesołych zabawach”; lub też: „Pracownicy operatywni zatrudnieni w spółdzielni pracy „Racjonalizator” w Stalino, wyrażają tą drogą uznanie i podziękowanie prezesowi Związku Bratniego Spółdzielni Budowlanych w Stalino, ob. G... oraz nowemu Zarządowi Spółdzielni za ich wysiłki uwiecznione pomyślnym wynikiem dotyczącym spowodowania likwidacji wszelkich należności z tytułu wykonywanych prac”; albo jeszcze jeden: „W związku ze wzrostem zachorowalności na choroby układu krążenia oraz z uwagi na to, że umieralność na choroby serca wynosi obecnie na całej kuli ziemskiej na plan pierwszy...”

Rząd nasz w swym szerokim planie zatorcia zniósł wojennych uwzględnił również potrzeby języka. Dana więc nam do rąk wielkie słowniki (Lindego i tzw. warszawski), wznowione za cenę znacznych sum; udzielono stałego miejsca sprawom języka w programie Polskiego Radia; wprowadzono w szkole egzaminację przejściową z języka polskiego; program klas X i XI uzupełniono dodatkowymi omówieniami w „Kulturze języka”; nie brak też planu na wydawnictwa dotyczące języka i jego poprawy.

PZPR na swym II zjeździe napomniała ustawami i Sekretarza KC partii ubóstwo i skostnienie języka w artykułach i przemówieniach, co jest wyrazem odwrócenia się od mas, i wezwała nie tylko literatów i publicystów, lecz i działaczy społecznych do stanowczej walki z wykształceniem i zubożaniem „naszego przepięknego języka ojczystego”. Znała więc ogólnie anegdota o agitatorze, który po kilkugodzinnej przemówieniu, usłyszawszy od biorników, że owszem rozumieją go, ale nie wiedzą o co chodzi. Wiadomo — język jest nie tylko narzędziem porozumiewania się przy każdym zbiorowym działaniu, ale także najskuteczniejszym środkiem do porwania mas, do obudzenia w nich woli czynu, do wyzwolenia utajonej ofiarności i zapału. Nie dokonano się tego „na bazie mobilizowania i aktywizowania mas po linii zapału”. Tu należy przemawiać językiem rodzinnym, jednym, choćby rubasznym.

Nie sporządzano terytorialnej statystyki okaleczeń języka, można jednak i bez tego przewidzieć, że Łódź na tym polu przoduje. A kto przewidział? Jedyne Woj. Dom Kultury zaczyna się interesować tym niewygodnym tematem, a Biblioteka WDK, uznając związek między językiem a książką, składa językowi należną donację przy każdej sposobności. Jak na dorobek dziesięciolecia to trochę za mało. Przodować tu powinny te czynniki, które sama ich nazwa powołuje do pieczy nad wszelkimi przejawami kultury. A więc np. Zw. Zaw. Prac. Kultury. Omówiono nawet ten temat w dłuższej rozmowie z sekretarzem tego związku, jednak od żywego zainteresowania się i zgody na wysunięte pomysły do poparcia ich czynem, droga, jak widać, daleka, skoro związek nie przebrał jej w półtora roku. A szkoda! Temat by się jak najbardziej nadawał do omówienia na krajowym zjeździe Zw. Zaw. Prac. Kult. Przede wszystkim jednak jest to zadanie Komisji Kultury Rady Miejskiej.

Powinna zapanować zasada: Nie ma kursu, jakkolwiek by było jego przeznaczenie, bez przykładu, choćby jednego, o najlżejszymy baczności języka; tymczasem nawet kursy dla instruktorów oświatowych nie uwzględniają tego tematu. Po wtóre należy złożyć poradnie językowe. Tam by się zwracano o pomoc w razie wątpliwości. Poradnia mogły by obsługiwać wystawy wszelkiego rodzaju, bardzo to bowiem chodzi o poprawność napisów czytanych przez masę; a zdarzały się nie tylko liczne błędy i tak rażące, że należało urządzić tam wystawy pociągające do odpowiedzialności, jako szkoleńców kultury.

Nie wolno się uchylać od pracy nad poprawnością języka Związkiem Młodzieży Polskiej. Pamiętajmy, że przed paru laty przewodniczącą Zarządu Głównego nowożytno na wolnym zebraniu w Warszawie do pielegnowania mowy Mickiewicza i Słowackiego, „Standaru Młodych” umieszczone w r. ub. artykuł: „Polacy nie gesi”. Poruszenie w nim zagadnienie nadużywania obcych wyrazów napietowało samoradnie to pismo znacznie wcześniej w tym samym satyrycznym „Wschłenieniu do mowy polskiej”. Czytaliśmy również w tym piśmie rozważania jednego z korespondentów, wskazujące sposób walki ze złymi zwyczajami językowymi, uderzające dojrzałością myśli. Jest więc rzeczą wprost trudną do zrozumienia pominięcie języka w § 27 statutu uchwalonego na niedawnym zjeździe Związku. Przypisać to chyba należy tylko karygodnemu przeoczeniu. Przecież na tym samym zjeździe B. Bietur wyraził te słowa: „Jednym z najpoważniejszych, najgłębszych w sercach ludzi zorientowanych uczuć jest miłość ojczyzny, umiłowanie swego rodzinnego kraju, języka, kultury”.

Doskonałą sposobnością do zajęcia się tą stroną były „Dni Oświaty, Książki i Prasy”. Wszakże język jest niezbędnym tworzywem każdej książki, gazety, odczytu; jest tym narzędziem, bez którego krzewienie oświaty jest nie do pomyślenia. Wprowadzenie do programu „Dni Oświaty” tego tematu zwróciłoby uwagę ogółu na język jako na coś, czym się zająć warto. To by się niewątpliwie przyczyniło do zmiany lekceważącej postawy społeczeństwa wobec tego narodowego dobra kulturalnego, do by był punkt wyjścia do obudzenia stałej czujności pod tym względem, a do tego właśnie nawoływał korespondent „Standaru Młodych”.

Rady Czytelnictwa i Książki, organizatorki owych „dni” w całej Polsce muszą raz na zawsze zwrócić z niewybrednymi pomysłami obliczonymi na przyciągnięcie tłumów, „aby handel szedł”. Takimi były np. popisy cyrkowców węgierskich (w Szczecinie) albo pokaz najnowszych modeli odzieży i galanterii (w Białymostku). Wszystko to dobre, ale w innych ramach. Jeżeliż zaś i nadal Rady Czytelnictwa i Książki trwały na stanowisku, że cyrk i moda bliższe są książce i oświacie, aniżeli język (chłubnym wyjątkiem jest tu Wojew. Rada Czyt. w Łodzi), byłoby to dowód, że te instytucje nie stać na zwrócenie się w potrzeby chwili, na wysnuwanie praktycznych wniosków z tego, co słusznie się tu i ówdzie uchwalę, że woli swe zadania traktować formalnie i wykonywać je w drodze najmniejszego oporu grzejąc w utartej koleinie i nie tracząc się o to, że o międzę dzieje się coś, w czym by mogła dopomóc.

Fakt powstania w Łodzi pisma kulturalno-społecznego pozwoli na pewno ruszyć z miejsca sprawę kopciuszka naszej kultury — języka.

MARIA NALEPIŃSKA

KUPON KONKURSOWY

Nr rysunku	Tytuł ilustrowanego utworu
1	
2	
3	

KRONIKA 12

7

WITOLD ZECHENTER

POEMAT O NIEZNANEJ ŻONIE

Przed rokiem mój przyjaciel w małżeński wstąpił związek.
Znam dobrze towarzyski, normalny obowiązek,
więc z pięknych róż wiązanką złożyłem im wizytę.
O piątę po południu. — O! — rzekł przyjaciel. — Witok!
Mej żony wprowadzić nie ma... — A gdzie jest twoja żonka?
— Jest coś w „Delikatesach”, więc poszła do ogonka.

Gadaliśmy dość długo, aż chwile się dłużyły.
— Wiesz, przyjdę kiedy indziej, by poznać skarb twój miły!
Za tydzień nad wieczorem stawilem się w komplecie,
to znaczy ja i w dłoniach róż wonnych piękne kwiecie.
— Jak się masz! — rzekł przyjaciel. — A gdzie jest twoja żonka?
— Jest coś w „Delikatesach”, więc poszła do ogonka.

Gdy późno wychodziłem, błyszczały gwiazdy cudnie.
— Za tydzień przyjdę — rzekłem — by poznać ją — w południe.
Lecz kiedym się istotnie za tydzień z kwieciami stawiał,
przyjaciel rzekł: — Niestety, masz pecha z wizytami,
bo żony nie ma w domu. — A gdzie jest twoja żonka?
— Jest coś w „Delikatesach”, więc poszła do ogonka.

Od tego czasu chodzę co kilka tam tygodni,
ale już bez bukietów, bo przecież tak wygodniej...
O różnych porach dzwonię — otwiera mi przyjaciel
i zawsze ta rozmówka w tej samej wraca szacie:
— Ach, żony nie ma w domu! — A gdzie jest twoja żonka?
— Jest coś w „Delikatesach”, więc poszła do ogonka.

Aż wreszcie wpadł mi pomysł w zamiarze mym upartym,
by złożyć im wizytę o świcie, tuż po czwartej!
Więc prawie nocą jeszcze dobijam się do bramy,
potem do drzwi ich... Otworzył przyjaciel mi zaspiany.
— Nie gniewaj się, mój drogi, że o tak dziwnej porze,
by poznać żonę twoją, wizytę dzisiaj złożyłem.
Wiem, że śpi jeszcze... Niechże zupełnie się nie trudzi:
poczekam jak pies przy drzwiach, warując, aż się zbudzi!
— Lecz jej już w domu nie ma! — przyjaciel mój się jęka.
— Co?! — Jest w „Delikatesach”... Już poszła do ogonka!

Rok minął — dni, tygodnie, miesiące pędzą cwałem —
a żony mego druha wciąż jeszcze nie poznałem!

Pięka z ogona

NA WSKRZESZENIE HITLEROWSKIEJ UFY

Kiedys z Goebbelsem w jednym idąc hufie
Zle miała chwytły. Czy powtórzy znów je?...
Choć zbój przysięga: „Nie mam kuli w łufie”,
Ja mu nie wierzę, nie ufam też Ufie!

Mieczysław Jagórzewski

BYŁE HANDEL SZEDŁ

Ministerstwo Oświaty prócz nowych podręczników dopuszcza do użytku każdorazowo jeszcze wydania z lat ubiegłych. Ale nie zawsze dopuszczenie jest jednoznaczne z poleceniem, nakazem kupna — jak to interpretował „Dom Książki”, chcąc wyprzedzić swoje remanenty, powstałe zresztą z niewiadomych powodów, skoro rokrocznie podręczników brakuje.

Niektóre podręczniki zostały w b. r. bardzo zmienione. Np. Historia na kl. IV, czy Czytanka na kl. II. Księgarnie, ulegając niezdrównym aspiracjom handlowym, wtręcały młodzieży i rodzicom najpierw gwałtem stare wydania. Udowodniono, okazując wykazy, że są dobre, że zatwierdzone, że ważne...

A jak potem nauczyciele powiedzieli w szkołach: „Postarajcie się jednak o nowe wydania” — to księgarnie umyli ręce. Zwrótów nie przyjmują. Pretensje klientów mogą ponoć wnosić do każdego: do nauczyciela, że nie powinien, do Ministerstwa Oświaty, że umieścił w wykazie, do Centralnego Zarządu Księgarni, że poleca rozsprzedawać — ale nie do nich!

Nieladnie, drodzy księgarze! Zmusiliście wiele młodzieży do kupna podwójnych podręczników: ostatnio z nowego wydania, a poprzednio ze starego remanentu. To jednak źle pojęte upytynianie remanentów!

KSIAŻE — KALENDARZ

Program Nr 1 Państwa. Filharmonii w Łodzi usiłuje wzmocnić w słuchaczy koncertów, iż w „Szeherazadzie” Rimskiego-Korsakowa chodzi m. in. i o reminiscencję z bajki „Książę - Kalendarz”.

Próżne usiłowania! Chodzi o „Księcia - Kalendarz”; Kalendarz — to wędrowni mnich u mahometan. (Nie utożsamiać ze słowem „kalendarz”!).

NIE RABOWAC!

W poprzednim numerze „Kroniki” ukazał się artykuł Edwarda Szustera „Maniactwo czy metoda?”. Czytamy tam zdanie:

„Mądry, stary Dickens powiedział już dość dawno, że patriotą — to człowiek nie bardzo zadowolony z tego, co się dzieje w jego ojczyźnie, pragnący, by działo się lepiej”.

Musimy zrobić przykreż kol. Szustrowi i przywrócić pokrzywdzonemu jego własność. Zdanie „Patriota to człowiek niezupełnie zadowolony ze swego ojczyzny”, wypowiedziane zostało dopiero w 36 lat po śmierci „starego, mądrego Dickensa”. Autorem jego jest mądry, choć nie tak znowu stary Gilbert Keith Chesterton, a umieszczony jest w książce o Dickensie. Chesterton to oczywiście wątpliwy autorytet w marksistowskim artykule politycznym — ale cóż, amicus Plato...

WOJCIECH DRYGAS

Tajemnicza skrzynia

ZGIĘTE pod biurkiem nogi sekretarza Maślaka źle znosiły trudy przeciągającego się w tym dniu urzędowania. Szło o rzecz niestychanie ważną — o dokładne zinventaryzowanie sprzętów biurowych w siedzibie gromadzkiej rady narodowej. Właśnie miał Maślak skoncentrować swoją uwagę na znormalizowanym dziurkaczu, kiedy w kancelarii pojawił się woźny Paprocki.

— W piwnicy, panie sekretarzu, stoi jakaś skrzynia. Podlega czy nie podlega?

— Skrzynia? przetarł powieki Maślak. — Skrzynia nie podlega! Na rozpalke ją dać i po bólu!

— Tam w środku coś siedzi...

— Żyje? Rusza się?

— Może się tam kiedy ruszało, ale teraz ciche jak trup...

— Trup? Wielki Boże! — zbladła referentka Kropielnicka, unosząc z nad wykazów obfity biust. — Skądże to przypuszczenie, panie Paprocki, że w skrzyni siedzi trup?

— Ja przecież nie mówię, że to jest trup — obruszył się woźny. — Ja mówię, że to coś jest ciche jak trup...

— Okropne! — dzwoniła zębami. — Trzeba natychmiast organa powiadomić! Niech zbadają po jakiej linii leżą te zwłoki!

Wyciągnęła drzącą dłoń w stronę telefonu, ale w pół drogi zniechęciła, gdyż pękł jej guzik od stannika. Moment ten wykorzystał sekretarz Maślak.

— Ależ panno Tolu! — perswadował. — Proszę nie słać paniki! Zachowajmy spokój i godność! — A do Paprockiego: — Bierście świecę i zapaliki, schodzimy do piwnicy!

Zeszli po krętych schodkach. Pochoch otwierał woźny z lichtarzem, za nim posuwał się ostrożnie Maślak, w ogonie ciągnęła się splotowała ze strachu referentka.

Nagle Paprocki obwieścił złowroźbnie:

— A to, panie sekretarzu, ona... Długa jak trumna! Odbić wieko?

— Czekajcie! — powstrzymał go Maślak. — Na skrzyni widzę jakieś napisy...

Odebrał woźnemu świecę, zrobił głęboki przysiad i zaczął sylabizować: „UWAGA, NIE PRZETACZAC! SZKŁO! ASORTYMENT SZKLANEK ZE SPODKAMI — HUTA SZKŁA „FENIKS” W KACZANOWIE”.

Kropielnicka wyciągnęła szyję:

— Czytałam kiedyś powieść kryminalną, w której pisał, że trupy chowane są właśnie w takich skrzyniach z napisami... Dla zmylenia!

— Dla zmylenia? — wytrzeszczył oczy sekretarz. Sprawa wydała mu się teraz bardziej zawiślana, niż początkowo mniemał. — Jeśli tutaj pisze „szkło”, panno Tolu, to znaczy, że musi być szkło — skonstatował. — A skoro jest szkło, to nie ma co filozofować. Skrzynię należy dostarczyć do rąk właściwego adresata!

W takich oto dziwnych okolicznościach paskiło czym prędzej remanenty spółdzielni.

Prezes spółdzielni, Boćwinka, nie ukrywał swego wzruszenia. Jeszcze przed kwadransiem czuł się jak wąż lebiada, której listkami targają zle wichry Miejscowy radiowóz napiętnował go za brak troski o potrzeby konsumentów w pobliskiej wsi Kopystki, domagając się kategorycznie usprawnienia dystrybucji szklanek,

kloszy do lamp, stojów na korniszony... Lada chwila spodziewano się inspekcji z powiatu!

— Niebo mi tę skrzynię zesłało! — załkał z nadmiernego szczęścia. — Jesteśmy, obywatelu, uratowani!

W jednej chwili rozwinęły się wszystkie jego troski. Wlaź na beczkę po kiszzonej kapuście i objął na powrót zachwianą władzę.

— Naprzód, do upytyniania! — rozkazał.

Natychmiast skrzynię, opatrzoną nalepkami: „Uwaga, nie przetaczać! Szkło!” — wystano do sklepu w Kopystkach z zaleceniem odbicia wieka i wyłożenia całej zawartości na półki. Dokonano tego na minutę przed katastrofą. Nazajutrz zjechał z hukiem inspektorzy!

W popłochu, który nastąpił, jeden prezes Boćwinka zachował godność i spokój. Broniąc się przed zarzutami, stwierdził po prostu:

— My, zarząd spółdzielni, nie będziemy odpowiadać na oszczerstwa. Niech za nas przemówi zaopatrzenie sklepów. Jedziemy do Kopystek, obywateli!

Pojechali. Przyjął ich roztrzęsiony do cna sklepowy Dobierasek. Ze słowami: „Czym chata bogata...” — wprowadził komisję do sklepu, robiąc naprędce żalosny rachunek sumienia.

Za to prezes Boćwinka był dobrotliwie uśmiechnięty i w każdym calu zrównoważony. W sekundę później stracił uśmiech i biały jak kalafior opadł między worki z mąką i cukrem. — Cóż pan najlepszego uczyniłeś, panie Dobierasek kochany?

Sklepowy wbił w niego zdumione spojrzenie.

— Uczyniłem wszystko wedle instrukcji — wybelkotał.

— Miałem skrzynię rozpakować i zapieścić półki...

— W tej skrzyni były...

— A jakże! Cały komplet — pięćset egzemplarzy! A na wierzchu pisemko...

— Kłapiąc z przejęcia zębami, rzucił: — „W nagrodę za uzyskanie przodującego miejsca w pracach melioracyjnych, prezydium Powiatowej Rady Narodowej przekazuje chłopom z Kopystek książki ufundowane przez robotników hutę szkła „Feniks” w Kaczanowie”.

— Do diabła! — jęknął prezes. Odebrał pismo z rąk sklepowego i sprawdził każdą literkę, zdanie po zdaniu, aż doszedł do końca. U spodu widniała data: rok 1950 w październiku. Prezes zaklął ponownie: był rok 1951!

— A to świństwo! — zwrócił się do inspektorów. — Nie chciało się nawet łobuzom zdjąć ze skrzyni starych nalepek!

WOJCIECH DRYGAS

JAN SZTAUDYNGER



LUBIĘ

Lubię tę Broniszę.
Bo nie broni mi się.

LUBIĄ

Lubią niekiedy piękne panie,
Gdy się nie pyta ich o zdanie.

W POLSCIE

W Polsce, gdzie tyle mieszka świń,
Sam nie śmieć i porządek czyni.

HISTORIA KRÓTKA

Chłop się obabił, baba ochłopiła,
Historia krótka, banalna i miła.

PERPETUUM MOBILE

Miło ci było z panią,
Innych też namów na nią.

WIDZĄC

Widząc, że tyłu usta całuje Ludwiki,
Zaraz się domyśliłem: „Studiuję języki!”

DOSZLUSOWAŁEM

Wstałem dziś wreszcie lewą nogą,
Nie mi już chyba zarzucić nie mogą.

TA

Ta, co się na rzeczy zna,
Długo broni, zanim da.

WENUS

Wenus, przestrzeż swoją działwę:
Wiele tracą, gdy są łatwe!

KIEDY PANI

Kiedy pani za dużo ma temperamentu,
Uznaję wolną podaż bez abonamentu.

BARBARA WEINRYB

Felieton nie z tej ziemi

Nareszcie po oszalałej i pełnej niezwykłych wydarzeń podróży międzyplanetarnej zaczęliśmy lądować. Z daleka już ujrzałam zbliżających się ku nam ludzi Marsa.

Po serdecznych powitaniach, zostałam zaraz otoczona przez grupę filmowców marsjańskich. Wszyscy przyglądali mi się z niebывалą ciekawością, co było o tyle wytłumaczone, że byłam pierwszą i jedyną przedstawicielką Ziemskiej Kinetografii i to w dodatku z Polski. Umieszczono mnie w pięknym samochodzie o napędzie atomowym i nim zdążyłam zebrać myśli — znalazłam się w atelier Marsjańskiej Wytwórni. Czołowy reżyser tamtejszej kinematografii (o dziwo — młody!) zaczął z miejsca objaśniać.

— Oto jest pani w jednej z dwudziestu hal zdjęciowych naszego atelier. Jak widzimy — ciągnął — dekoracje zmieniają się u nas automatycznie, za naciśnięciem odpowiednich guzików. Jest to wprawdzie już bardzo prymitywne, bo działa na zasadzie elektryczności, ale mamy też i urządzenia najnowszej techniki. O, widzi pani, tu właśnie jest kamera do ma-

gnetycznego zapisu zdjęć, a przed chwilą minął nas wózek atomowy wiozący reflektory, które tu również działają automatycznie, za pomocą specjalnej taśmy. Bardzo przepraszam — krzyknął — stanęliśmy właśnie na planie a reżyser daje sygnał do zdjęć, musimy iść.

Chwileczkę — bąknęłam — czy to jest plan? Przecież nie widzę tu prawie żw. ekipy... Reżyser, asystent, operator, kierownik filmu i jeszcze dwoje jakichś ludzi. I to ma być plan?

Zacząłam gwałtownie wyliczać: gdzie jest pięciu kierowników zdjęć, 4-ch asystentów reżysera, 2-ch operatorów 8-miu oświetlaczy, sekretarka planu i... Reżyser przerwał mi gwałtownie, patrząc ze zdumieniem w moje półprzysłone oczy.

— Widzi pani, u nas ludzi jest rzeczywiście mało, nawet bardzo mało, bo... Bo my kręcimy mało filmów. W tej chwili tylko 300. A wy, ile robicie rocznie? — zapytał.

— Pięć — odparłam głucho i zaraz dorzuciłam fachowo. — W tym dwa przerzuty z ubiegłego roku.

Gdyby nie wiadomości, które go już uprzednio doszły o naszej produkcji —

wziąłby mnie — wyczytałam to w jego oczach — za osobę obłąkaną. Słowa moje potwierdzały jednak tylko prawdę, zaczął więc pytać dalej.

— Może baza mała i nie jest w stanie obsłużyć wielu filmów jednocześnie?

— Nie — odparłam. — Baza techniczna może u nas obsłużyć 12 do 14 filmów rocznie.

— Realizatorów może mieć za mało?

— Nie, 50 proc. naszych pracowników twórczych to ludzie z konieczności bezproduktywni.

— Bezproduktywni! — zdziwił się niestychanie. — Acha, pewno nie macie miejsca, hal zdjęciowych mało?

— Hal co prawda za wiele nie ma, ale miejsca wystarczyłoby. Są przecież plenery.

Tu przypomniałam sobie warunki pracy filmowców w innych państwach. Np. Jugosławia, Czechosłowacja, NRD, gdzie przeciętnie produkuje się około 60 filmów rocznie. Nie mówiąc już o Francji, Włoszech czy ZSRR, gdzie produkcja dochodzi do 180 pozycji. Wiele z tych filmów kręci się niemal tylko w plenerach. W szeregu wypadków wykorzystuje się tylko wnętrza naturalne zamiast budować kosztowne dekoracje. Ale co tam, przecież to znowu wiąże się z tematyką filmów.

Rozmówca mój jakby przeczuwając te myśli zapytał:

— A może brak wam scenariuszy?

— Nie — odpowiedziałam od razu czując dławienie w gardle. — Scenariusze to by były, nawet dużo, tylko, że...

— Że co? — zapytał.

— Że Biuro Scenariuszowe akceptuje tylko takie scenariusze w których jest wszystko — tak, wszystko! Kwestia polityczna w powiązaniu ze społeczną, w oparciu o człowieka pracy, który się łamie pod naporem przeżyć osobistych na bazie wydarzeń międzynarodowych w świetle ogólnym i...

— Ależ proszę pani...?

— Tak, tak — przerwałam. — Tylko, że takich scenariuszy to jest właśnie mało. Więcej jest tematów mówiących o życiu zwykłych ludzi, ich troskach, radości, miłości i konfliktach. Ale z tych scenariuszy filmów kręcić nie wolno. Dlatego robimy co możemy — kręcimy filmy drogą i kręcimy ich mało, ale za to mamy dużo ludzi, którzy mają mało dobrej woli — skończyłam smutno.

— Cóż więc wasze władze robią, by ten stan poprawić? krzyknął oburzony.

— Władze? — szepnęłam i... Nagle silny marsjański wiatr otworzył wszystkie okna gabinetu i silny CUK odebrał mi mowę.

Obudziłam się zdrętwiała ze strachu i zlaną perlistym potem.

BARBARA WEINRYB

Nowości wydawnicze

(Dokończenie ze str. 7)

I oto jeszcze jeden debiut. Tym razem wznowienie. Autor napisał tę powieść przed trzydziestu pięciu laty. Nazywa się Lucjan Rudnicki. Książka nosi tytuł „Odrodzenie”. Jest ona pierwowzorem, jakby zaczątkiem na polu pamiętnikarskiej relacji, która powstawać zaczęła pod piórem tego pisarza już po 1945, jest jakby przedmową do „Stare i nowe”.

Od lat nie miałem w ręku nowej książki polskiego autora, która mówiłaby o teatrze. I oto ukazują się aż dwie. Jedną to „Jak wam się podoba” J. Kotta, zbiór świetnie napisanych felietonów teatralnych, druga to „Szkice teatralne” W. Natanson. — No nareszcie — westchnęliśmy. Były tylko nasze wydawnictwa nie poprzestają na tym. Czekamy na dalsze książki z tej dziedziny. Na zbiór teatralnych esejów E. Csato czy K. Puzyny, czy S. Treugutta.

REDAGUJE ZESPÓŁ
WYDAJE ZWIĄZEK LITERATÓW
POLSKICH
Oddział w Łodzi
NAKŁADEM RSW „PRASA”

Adres Redakcji:
Łódź, Piotrkowska 96, I p. Tel.: 244-79
Rękopisów nie zamówionych
nie zwraca się
Prenumeratę miesięczną wynoszącą
zł 2,40 przyjmują Urzędy Pocztowe
i listonosze.
Zakł. Graficzne RSW „Prasa” — Łódź,
Zwirki 17. Zam. 3079. N. 6000 Pap.
druk. sat. 60 g, V kl. X. 55. D-6-6631